Nr. 11. Kraków, dnia 13 marca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

O nauczycielstwo ludowe.

Trzy są zawody, które w naszych warunkach oddziaływać mogą najsilniej na ogół i dlatego ponoszą największą odpowiedzialność za swe postępowanie: *duchowieństwo, nauczycielstwo i dziennikarstwo.*

O dziennikarstwie mówić nie chcemy; Napoleon słusznie nazywał je nowem mocarstwem europejskiem, bo któż silniej i systematyczniej jak ono może oddziaływać na umysły i przekonania czytelników? Dziennikarstwo polskie z pośród wszystkich pozostało po dziś dzień najbardziej niezależne i najuczciwiej spełnia swą misyę.

Wspominaliśmy już o znaczeniu duchowieństwa dla sprawy narodowej. Duchowieństwo było i jest szerzycielem kultury, bezpośrednio w tych sferach, które pozostawione na uboczu żyją w barbarzyństwie niemal. Rozbudzając uczucia religijne, dając podstawę czynom i życiu jednostek przez utwierdzanie praw etycznych, wskazując ogółowi ideały najwyższe, duchowieństwo rozsiewa idealizm, tak życiu jednostki potrzebny, pomiędzy ludem, i przyzwyczaja go do dążeń ogólnych i wyższych.

Niemal zawsze duchowieństwo jest także promotorem w pracy społecznej. Co może zdziałać dzielna jednostka, choćby jedna osoba, wiemy wszyscy. W Galicyi takiem zaszczytnym przykładem jest: Albigowa koło Łańcuta, gdzie proboszcz ks. Tyczyński w przeciągu dwudziestu lat przerobił ją — sparafrazujmy przysłowie — z „drewnianej na murowaną". To samo widzimy obecnie w Królestwie Polskiem, gdzie ks. Adamczyk w przeciągu lat trzech wieś Wielkopole w gub. radomskiej również do gruntu przerobił. Stworzył czytelnię, Kółko rolnicze, spółkę kredytową, spółkę handlowo-gospodarczą, spółkę drenarską, mleczarnię, dom ludowy itd. W ten sposób można przetwarzać charakter narodowy.

Z szeregu najsilniejszych czynników kultury jedno z najpierwszych miejsc należy się: nauczycielstwu. Znane jest zdanie Bismarcka, że w r. 1870 nie on, Bismarck, ale nauczyciel ludowy pobił Francyę; znaną jest rzeczą, że w państwie Wschodzącego Słońca, w Japonii, nie ministerstwo wojny, jak wszędzie indziej i w całej Europie, ale ministerstwo *oświaty* jest najważniejszem ministerstwem, do którego dostosowują się wszelkie inne funkcye oświaty: niestety to, co w Japonii jest jasnem, nie jest jasnem dla... kulturalnej Europy, w której militaryzm jest czynnikiem przodującym.

Jak ogromne pole pracy ma każdy nauczyciel! Zakres wpływu dziennikarza ogranicza się do grona osób mniej więcej uświadomionych, kiedy duchowieństwo może działać wprawdzie przez czas długi, ale nie stale, nauczyciel rzeźbi duszę dziecięcą od najranniejszej młodości. Matka w duszę dziecka wpaja pierwsze zasady o Bogu, ojczyźnie, rodzinie, a nauczyciel mając możność nieustannie obcować z dzieckiem, każdego dnia rozszerza zakres jego wiadomości i daje mu podstawy, na których opierać się będzie całe wykształcenie dziecka i cały system jego zasad życiowych.

Nikt inny, jeno nauczyciel może maleństwu urobić całą ideologię; młody umysł i niekrytyczny przyjmie wszystko: będzie to ideologia dobra — pomoże jeno do rozwoju cnót dziecka i będzie cennym skarbem na zawsze; będzie to ideologia zła, w najpóźniejszych latach odbije się brutalnym narowem, jako echo zdawna wkorzenionych poglądów. To świadczy dosadnio o odpowiedzialności, jaką dźwiga na sobie każdy nauczyciel, który świadom jest podjętej przez się misyi.

Sprawy oświatowe i sprawy wychowawcze w Polsce stały na stanowisku dominującem. Upadająca Rzeczpospolita wyraz szczerej o nie troski dała w utworzeniu Komisyi Edukacyi Narodowej, pierwszego bodaj Ministeryum Oświaty wogóle. Jak głębokie były wskazania Komisyi, wystarczy

wspomnieć o paru momentach pedagogicznych, (jak wyrabianie indywidualności i kładzenie wagi na rozwój charakteru, wychowanie narodowe, równoległe z wykształceniem wychowanie fizyczne), które w obecnych prądach wychowawczych grają rolę naczelną.

Wpływom wyłącznie polskim i staraniom pracowników Komisyi Wychowania Narodowego zawdzięczać może Litwa i Ruś okres najpiękniejszego rozwoju dążeń wychowawczych. Sława uniwersytetu wileńskiego i liceum krzemienieckiego dziś jeszcze przyćmiewa uniwersytety rosyjskie, które służą nie nauce i prawdzie, ale przedewszystkiem są wyrazem poglądów państwowych i rządowych i tych poglądów tłumaczami i interpretatorami.

Znaczenie szkolnictwa zrozumiały dobrze rządy zaborcze, które zgniotły je zupełnie. Nie tylko runęło same Polskie Ministeryum Oświaty, ale padły także wszelkie jego owoce. Bujnie szerzące się szkolnictwo polskie zniszczono.

Jest objawem nader sympatycznym, że właśnie w dobie obecnej obudza się równie silny ruch na polu szkolnictwa. Dowodzi dwu momentów: silniejszego rozwoju uczuć narodowych u ogółu i postępu równoległego naszej kultury z kulturą Zachodu.

Wzrost samowiedzy narodowej wskazuje na szkolnictwo jako jeden z najważniejszych czynników uświadomienia narodowego; sprawa szkolna jest aktualna dla wszystkich, stanowi przedmiot dyskusyi w prasie, dyskusyi na wiecach dyskusyi podczas ankiet sfer pedagogicznych.

Wzrost zainteresowania się wychowaniem narodowem nie jest atoli jednostronny, obejmuje bowiem również najżywotniejsze zagadnienia współczesnej pedagogii. Na Zachodzie, w Niemczech, Francyi a przedewszystkiem w Anglii, pojawiają się nowe prądy wychowawcze, zmieniające dotychczasowe w tym kierunku poglądy. Na chlubę naszą podnieść należy, prądy te nie pozostają dla nas obce, owszem społeczeństwo je przyjmuje, ale te tylko, które uznane pomiędzy obcymi za wartościowe, mają także i dla nas, dla naszego charakteru i temperamentu, znaczenie.

Rzesza nauczycielska jest w naszym kraju liczna: 15.000 osób, nauczycielstwa szkół wyższych, średnich: ludowych, to armia poważna, z którą liczyć się musi każdy. A przedewszystkiem kilkunastu tysięczna armia nauczycielstwa ludowego powinna zwrócić na siebie uwagę całego społeczeństwa. Ona ma w ręku przyszłość kraju.

Z pełną świadomością należy stwierdzić, że nauczycielstwo nasze spełnia swe obowiązki ku powszechnemu zadowoleniu, ku szczeremu uznaniu wszystkich. Każdy rozumie, że za żarliwą pracę należy się odpowiednie poparcie ogółu. Społeczeństwo popiera nauczycielstwo specyalnie nie za wykonywanie swych obowiązków, ale po to, aby przy wydatnem poparciu praca nauczycielstwa była owocniejszą i wydatniejszą.

Nie dość, że nauczyciele mają za sobą zadowolenie wewnętrzne ze spełnionych prac, że mają uznanie ogółu: im się należy jeszcze poparcie społeczeństwa w kierunku przedewszystkiem poprawienia doli materyalnej, która obecnie jest nieznośna. Poparcie to ujawnić się może w uznaniu tych postulatów i w przekazaniu ich reprezentantom poselskim.

Poprawa bytu nauczycielskiego leży w interesie kraju samego. Im bowiem nauczyciel będzie stał lepiej, będzie mógł i wydatniej pracować w szkole i energiczniej pracować na polu społecznem. Wiadomo zaś, że nasze organizacye oświatowe i kulturalne, po miasteczkach i po wsiach głównie — obok duchowieństwa — opierają się na nauczycielstwie. Wobec braku duchowieństwa tem więcej obowiązków spoczywa na nauczycielstwie: tem lepiej powinno być sytuowanem, aby mieć swobodniejszą rękę w działaniu publicznem.

Sprawy szkolnictwa ludowego podpadają pod ingerencyę Sejmu. Sejm galicyjski dużo postąpił w poprawie stosunków szkolnych w kraju i dużo w poprawie bytu finansowego. Wierzymy, że w uznaniu pracy nauczycielstwa wydatnie poprawi jego dolę, skoro tylko nastąpi uregulowanie finansów kraju.

***

STRZELEC.

J. JUR.

Była to jesień ponura i dżdżysta — ołowiane chmury leniwie i ociężale przesuwały się ponad rozmiękłą ciągłymi deszczami ziemią. Na drogach i polach, szerokie kałuże wody odbijały jednostajną, ciemną barwę nieba, zdając się urągać młodej oziminie, której zielone, delikatne źdźbła wyglądały trwożliwie z pod szklanej powłoki. W naturze panuje martwota i smutek — nie dziw więc, że i serce człowieka lęka się czegoś i smętnie marzy. Przeciągły świst ostrego wiatru wystudza uśmiech na ustach i zmiata z twarzy wyraz swobody.

Po czarnej i pustej drodze sunie się wyniosła, chociaż już pochylona wiekiem postać starego strzelca. Idzie powoli — czyżby przytwierdzona do torby myśliwskiej zwierzyna, miała mu tak ciężyć? Przystanął na chwilę, zdjął kapelusz i potarł ręką czoło.

— Ha! jak ten wiatr świszcze — mruknął do siebie — jak gdyby miał przynieść jakie zło ze sobą.

I szedł znów dalej, ale jeszcze wolniej i smutno spoglądał w około. Niespokojnym wzrokiem, z dziwną tęsknotą obejmował lasy i pola, jakby w przeczuciu bliskiej rozłąki.

— Cóż u licha! — zawołał i niecierpliwie szarpnął siwego wąsa, na który łza stoczyła się powoli. — Czyż będę się mazał jak dzieciak? Ludzie nie wiedzieć co gadają, ot! zwykłe babskie plotki.

Przyspieszył kroku i wstydząc się własnego rozczulenia, zaśpiewał myśliwską piosenkę.

Wkrótce doszedł do gospodarczych zabudowań Pruszowic, wspaniałej pańskiej siedziby.

U furty podwórza spotkał starego stangreta.

— Cóż tam słychać Wojciechu? — zagadnął go wesoło.

— Co? — powtórzył stangret i ze złością postawił kubeł, tak że woda szeroką strugą rozlała się po ziemi. — Będę jutro Niemców obwoził.

Słowa stangreta uderzyły w starca jak piorun — zachwiał się tak silnie, że aż ręką musiał uchwycić się furty.

— Niemcy... Pruszowice... — wyszepnął i urwał nagle, bo myśli i usta wypowiedziały mu posłuszeństwo; stał drżący cały, opierając głowę na oparkanieniu.

— Ech! panie Tomaszu — odparł filozoficznie stangret — czego tak desperować — ziemię oddają Niemcom, bo każdemu miłe pieniądze; gadać niema czego, to co sprzedają, to nie nasze. Świat długi i szeroki, kto uczciwy i pracować chce, ten nigdy nie zmarnieje.

Starzec podniósł głowę, w twarzy jego palił się dziwny ogień.

— Nie nasze! zawołał gwałtownie. — Czyżeśmy to Turki, czy co? Każda garstka ziemi to własność nasza, bo jest zlana krwawym potem pracy naszej — należy do nas przez miłość. Czy rozumiecie Wojciechu?

Stangret z powątpiewaniem kiwał głową.

— Piękne gadanie panie Tomaszu — odparł po chwili — wiem, że wam w mowie nie poradzę. Przy naszym starym dziedzicu — świeć tam Panie nad jego duszą — dużo ładnych i mądrych rzeczy nauczyliście się; ja się tam na tem nie znam, ale to dobrze rozumiem, że tu co gadać niema. Nie nasze mosanie, co nie, to nie — a jakbyś słowo powiedział, to cię za drzwi wyrzucą.

Przykre milczenie zapanowało po słowach stangreta — ogień zagasnął w oczach strzelca, na twarzy jego odbiło się przygnębienie.

— Nie nasze panie Tomaszu, nie nasze — powtarzał Wojciech i podniósł od ziemi kubeł, zabierając się do odejścia. — Niema co gadać, pójdziemy w świat w imię Boże.

Starzec z rozpaczą obejrzał się w około, dla niego światem była ta ziemia, na której się urodził — poza nią pusto i zimno. Oparł się na parkanie i patrzał przed siebie martwym wzrokiem — wiatr jesienny szalał nad jego głową, a on się wsłuchiwał w ten świst przeciągły i żałobny, jak w dzwon pogrzebowy. Zdawało mu się, że stoi nad wielkim grobem, w którym spoczęło tyle serc kochających, pokrewnych jemu tą samą miłością i bólem. Dusza starca na chwilę oderwała się od ziemi i uniosła się ku niebu.

— Boże! zmiłuj się nademną! — jęknął z głębi piersi i po chwili dodał — zmiłuj się nad nami!

Żebrał miłosierdzia Bożego, bo czuł że wszystko w około rozpada się w gruzy i zamienia w ruiny, które późniejsze pokolenia straszyć będą podaniami o ludziach, przykutych do tej ziemi wspomnieniami zbrodni. Lękał się powrócić do domu, ażeby nie usłyszeć potwierdzenie słów stangreta — wlókł się więc powoli, zatrzymując się co chwilę i unikając spotkania z kimkolwiek. Gdy był oddalonym o kilka kroków od swego mieszkania, usłyszał wesoły śpiew dziewczęcy; piosenka dźwięczała takiem weselem i swobodą, że na chwilę jasny promyk zabłysnął w oczach starca. Raźniej zbliżył się do drzwi i nacisnął klamkę. Zaledwie ukazał się na progu, młodę

jasnowłose dziewczę wybiegło z kuchenki i zarzuciło mu rączki na szyję.

— Dziaduniu, niedobry dziaduniu — szczebiotała — gdzieżeście byli tak długo? Na dworze taki wicher, drżałam o was dziaduniu. Mam gorące mleko, świeże kartofelki, rozgrzejcie się dziaduniu.

Starzec nie oddał jej pieszczot za pieszczoty, chmurny zdejmował powoli myśliwską torbę. Dziewczę zatrwożyło się, odstąpiło o kilka kroków i uważnie wpatrywało się w twarz strzelca.

— Dziaduniu co tobie? — zawołała zakłopotana. — Tyś taki inny, taki chmurny.

— Zdaje ci się — odparł starzec, siadając przy stole i wspierając głowę na ręku. — Zeziąbłem nic więcej, podaj wieczerzę.

Dziewczę jak strzała pobiegło do kuchenki i powróciło wkrótce, niosąc garnuszek gotującego się jeszcze prawie mleka. Nalała pełną filżankę i przysunęła ją dziadkowi; starzec połknął parę łyków mleka i spojrzał na dziewczę, które zafrasowane siedziało w końcu stołu.

— Dla czego nie pijesz Zuziu? — zapytał po chwili.

— Bo... bo nie mam apetytu.

Głuche milczenie zapanowało znowu w izdebce. Starzec szarpał siwego wąsa i zaciskał raz poraz pięść w kułak z taką mocą, jak gdyby groził nią dalekiemu i niewidzialnemu nieprzyjacielowi. Szare jego oczy to raz zamgliły się łzą, to znów strzeliły błyskawicą nienawiści, groźby lub też wewnętrznym tłumionym bólem.

— Dziadziu... — szepnęło dziewczę i zamilkło nagle, trwożne i drżące.

— Zuziu — odparł starzec, a słowa łkaniem prawie wydobywały się z jego piersi — tułaczami jesteśmy na własnej ziemi, nigdzie dachu nad głową.

Dziewczę pobladło i zsunąwszy się z krzesła, przyklękło u nóg starca.

— Młody dziedzic wypędza nas dziadziu? — zapytało szeptem prawie.

— Zaprzedaje! — wybuchnął nagle starzec i odepchnąwszy dziewczynę, z namiętnym bólem splótł ręce nad czołem. — Zaprzedaje Zuziu, jak Judasz Jezusa zaprzedał... Hańba mu, hańba nam wszystkim!

Powstał gwałtownie i szybkim krokiem przebiegał izbę — przystanął przy oknie i otworzył je pomimo szalonego wichru.

— Patrz Zuziu — powiedział, wskazując ręką w około — patrz na te pola, lasy, to wszystko nasze... tak szczerze polskie; patrz na nie dzień i noc póki ci ich stanie.. Patrz i nie zapomnij.

Dziewczę nie rozumiało znaczenia słów dziadka, ale ogarnął ją strach zabobonny — uczuła że zabrakło jej ziemi pod stopami.

Dla niej ojczyzną — to polska piosnka; religią — to modlitwa w rodzinnej mowie. Przez otwarte okno ujrzała, na szarem tle nieba, ciemną wierzę kościołka, przypomniała sobie groby rodziców i gorący potok łez popłynął po jej twarzy.

— Dziadziu — szepnęła trwożliwie — tam, pod tą ziemią, wszyscy nasi.

Starzec gwałtownie zwrócił się do niej.

— Nie płacz umarłych; płacz tych co tułaczami będą i wyjdą ze zaprzedanej ziemi, ażeby zaprzedać własne dusze.

Starzec zapalał się, oczy jego rzucały błyskawice.

(Dokończenie nastąpi.)

Z pod chłopskiej strzechy.

Hej wiosno!

(P. Ludwice Brunwald.)

Hej wiosno, powróciłaś czarowna królewno,
Ale ty już nie taka, jak byłaś przed laty...
Nie mówisz mi do duszy, tak anielsko-śpiewno,
Nie tak wonne, czarowne, łudzące twe kwiaty.

Hej wiosno! hej królewno jasna złotowłosa,
Dziś na twoje zielono-kwieciste kobierce,
Z moich oczu się sączy, łez milczących rosa,
Twoja rozkosz dla innych... nie dla cię me serce...

Hej wiosno, już ty nie ta co byłaś przed laty
Już nie ta w tobie cudność, nie ta miłość w tobie
Kiedy jeszcze raz przyjdziesz, może twoje kwiaty
Okwiecą mię, okryją, darnią w zimnym grobie.

Hej wiosno, nie ujrzę ja wtedy twego słonka
Ani śpiewu skowronka twego nie usłyszę,
Ale gdy się Magdusia, na mój grób zabłąka,
Usłyszę ja jej kroki w zagrobową ciszę...

Jantek z Bugaja.



Głowa kobiety — Studium.

Legendowe bluszcze.

Dziwne nieraz i nawet tajemnicze są zwyczaje drzew i krzewów; słusznie możemy tutaj użyć wyrazu „zwyczaje“, nie obawiając się przesady, gdyż okazują one swem życiem, iż nie każda ziemia im odpowiada, nie każde położenie i nie wszystkie warunki. Chociaż wydawałoby się na pozór, że ziemia orna sprzyja bardziej rozwojowi korzeni, możemy łatwo przekonać się, iż nigdzie niema bujniejszej roślinności, jak dokoła ruin i starych murów, którymi karmią się nieraz drzewa, niby najlepszą ziemią; zda się, jakby rośliny pragnęły otoczyć swoją opieką, czy też zachować może dzieła ludzkie lub ich ślady. Drzewa wyrastają nawet w domach, nie boją się rozsadzać bruków dla zrobienia sobie miejsca i zwrócenia się ku słońcu, lub nawet tylko wciskać się w szczeliny murów, gdzie błyska choćby trochę światełka

Któż nie przypomina sobie pięknego podania o drzewie oliwnem Ulissesa, które dopomogło Penelopie do poznania swojego małżonka. Drzewo wybujało w pałacu króla Itaki i do tego stopnia się rozrosło, że Ulisses, urządzając komnatę małżeńską, (wówczas królowie bywali i cieślami), ściął tylko pień drzewa, by w pozostałym kawale wyżłobić łoże. Po dziesięciu latach tułaczki, na jaką był narażony ten bohater po wojnie trojańskiej, wraca on do domu. Niestety, choć mieni się, że jest królem wyspy i opłakanym Ulissesem, nikt nie chce mu wierzyć i nawet godzą na życie jego; wtedy dopiero wierna żona poznaje go po opisie łoża, o którego urządzeniu wiedzieli tylko oni oboje.

A owa wątła roślinka, co to wyrosła w szparze kamiennej podłogi więzienia i przywiązała napowrót do życia nieszczęśliwego więźnia włoskiego: chciał on sobie śmierć zadać, lecz zaniechał tego zamiaru, zoczywszy, iż maleństwo to zielone rwie się gwałtem do życia, mimo tylu i takich przeciwności...

Nie tak dawno zamarł jawor w gmachu paryskiej Opery; wykiełkował on niegdyś — nie wiadomo jakim sposobem — nad drzwiami administracyi Opery. Doglądano go, drzewo rosło i żyło przez czas jakiś. Lecz godzina upadku wybiła po dniach tryumfu. Gdzieindziej, w jakiemś miejscu przechadzek byłby sobie rósł jawor niepostrzeżony, a więc bohaterskim wysiłkiem wzrósł tam, gdzie musiał zwrócić uwagę, a dokonawszy tego usechł i.. zginął, lecz sława jego nie zginęła i po śmierci,

Pierwszeństwo jednakże między „zjadaczami murów“ należy się zapewne drzewom, które objęły w posiadanie kościółek w Locbury, małej wsi szkockiej. Wieża tego kościółka, pochodząca z XV-go wieku, dosłownie znikła pod bluszczem. Nicby w tem zresztą nie było jeszcze dziwnego. Lecz w nawie ogarnia nas dopiero zdziwienie: dwa wysmukłe pnie wychodzą z pomiędzy kamiennych płyt i pną się ku oknom, idą wężowym skrętem wzdłuż szyb do dwóch otworów w górze, a wydobywszy się tymi otworami na zewnątrz, rozpościerają się swobodnie na wolnem powietrzu. Mieszkańcy wsi są bardzo dumni ze swoich wspaniałych bluszczów: rzeczywiście, że drzewa te są to olbrzymy między bluszczami. Może nigdzie indziej nie można znaleźć tak pięknego bluszczu. Wzrostowi ich sprzyjał niezawodnie łagodny i wilgotny klimat szkocki, jakoteż sąsiedztwo starożytnych murów. Między starymi mieszkańcami kraju przechowało się o tych drzewach ustne podanie, które oni chętnie opowiadają młodzieży o szarej godzinie.

Pewnego dnia — opiewa ta legenda — otwarła się szczelina między dwiema płytami posadzki w kościele, aby przepuścić pęd bluszczu. Stróż kościelny chciał go wyrwać, lecz pastor mu tego zabronił, mówiąc, że skoro Bóg pozwolił tej słabej roślinie rozsunąć ciężkie kamienie, byłoby świętokradztwem sprzeciwiać się jego zamiarom. Wkrótce pojawił się drugi pęd obok pierwszego. Z biegiem lat rozwijały się oba bliźniaki, aż podtrzymano je linkami żelaznemi. Pięły się ku oknu, nęcone światłem, czepiały krat i uwieńczyły je. Widocznie rośliny pragnęły wydostać się na powietrze: dość już miały życia pod dachem; chciały powrócić gwałtem na wolność. Zarząd kościelny zastanawiał się poważnie nad losem obu bluszczów. Uchwalono otworzyć dla nich dwa kwadraciki w oknach, by im ułatwić wyjście. Rośliny nie dały się zapraszać długo i jeszcze tej samej wiosny zaczęły wypuszczać za oknem silne odrośla.

Od tego czasu oba bluszcze stały się prawdziwemi drzewami, dla których nie potrzeba było już opieki. Obfite ich pnącza okryły zewnątrz kościółek cały niby bujnym włosem. A wieśniacy — nie zabobonni zresztą — sądzą, że drzewa te są cudownego pochodzenia i stanowią prawdziwy talizman dla okolicy, dla całego kraju.

Wiadomo, że i po zamkach rozpościerają bluszcze swoje ramiona. Najciekawsze są ruiny grodu Silbergau w północnych Niemczech: z ruin zamku jedna tylko wieża — opleciona powojem — została prawie nienaruszona. Zwią ją wieżą prze-



Arabka na stanowisku.

kleństwa; z zamkiem tym wiąże się w istocie straszna legenda, która posłużyła niemieckiemu poecie Uhlandowi za temat do najsławniejszej ballady:

Niegdyś mieszkał w zamku król z małżonką swoją i byliby bardzo szczęśliwi, gdyby nie potworna zazdrość króla. Pewnego dnia przybył do zamku stary minstrel — średniowieczny wędrowny pieśniarz-poeta — z pięknym młodzieńcem. Obaj śpiewają przed królewską parą pieśni o wojnie i miłości. Królowa jest tak zachwycona, że rzuca młodzianowi cenny klejnot w nagrodę. Króla to gniewa. Demon zazdrości odzywa się w nim na nowo; szalony z gniewu, topi szpadę w piersiach młodego trubadura, który pada martwy u jego stóp. Ojciec stary odchodzi, rzucając przekleństwo na mordercę syna. Skutki przekleństwa okazują się niebawem: królowa umiera, słudzy opuszczają króla, zamek zapada się cały, prócz starej wieży, skąd bard rzucił przekleństwo, a nieszczęsny król kończy dni swoje, błąkając się po ruinach zamku. Nikt nie chce zbliżyć się doń, gdyż według klątwy minstrela, krew bucha z ust króla, ilekroć zechce przemówić. Wszędzie powyrastały drzewa, zwaliska pokryły się niesłychanie bujną roślinnością. Nawet na kamieniach, zwietrzałych od deszczu, wkorzeniły się rośliny, dokonując dzieła zniszczenia. I ta bujna, śmiejąca się roślinność zdaje się nie przeczuwać nawet, jaki dramat rozegrał się ongiś tutaj, gdzie obecnie uwijają się skrzętne pszczółki.

Lecz wieśniacy są mniej ufni i, uprawiając pola, przyległe do zamku, strzego się, by nasienie nie padło w obręb murów. A chociaż twierdzą, że obcy im lęk, na pewne żaden z nich nie śmiałby błąkać się po ruinach, gdy dzwoni północ...

ISLANDYA.

Rzucona pod koło biegunowe, na granicy obu półkul, pomiędzy Skandynawią a Grenlandyą, leży odosobniona Islandya. Wyspa ta stanowi przeważnie wulkaniczny kraj górski, bezdrzewny, pełen strasznych pustek, stromych skał, wysokich, śnieżnych i lodowych gór, licznych gleczerów, bystrych potoków i małych, lecz głębokich, kraterowych jezior. Na poprzecz wyspy, wznosi się, do przeciętnej wysokości 500—650 metrów nad poziomem morza, puste, płaskowzgórze; brzegi wyspy są strome i głębokiemi fiordami porozrywane; część północno zachodnia tworzy nawet półwysep trójkątny, wązkiem tylko międzymorzem z głównym lądem połączony.

Jest to ląd ponury, smutny, o bezludnych, zlodowaciałych i skalistych pustyniach we wnętrzu swojem. Wszelako jest też jednym z najciekawszych, a bogatym w cuda rodzime, krajem europejskim. W niewielu tu dolinach tylko i na pojedyńczych miejscowościach wybrzeży, istnieje roślinność i możliwą jest uprawa ziemi; one też jedynie są zaludnione. Większa część wyspy, jak zaznaczyliśmy, jest wytworem wulkanicznym, skaliste pagórki i skaliste równiny są bez wyjątku prawie pokładami lub potokami lawy. Istnieją tam liczne wulkany, a kilka wciąż czynnych. Najgłośniejszym jest Hekla, której liczne i straszliwe wybuchy były przedmiotem szczegółowych badań. Powszechnie znanemi również są źródła gorące, zwane gajzerami. Środek wyspy potężnemi lodowcami pokryty jest szeroko.

Wśród gór spotykamy również nagromadzenie lodu w rodzimych grotach lodowych, jak w jaskiniach podziemnych, wyłożonych stalaktytami [1]) i stalagmitami [2]) z lawy, które powleczone lodem, tworzą czarowne obrazy, dziwnym lśniące blaskiem fantastycznych postaci lodowych. Inne znowu wspaniałe widoki przedstawiają liczne wód zlewy, niezwykłej szerokości i głębokości, a wszystkie nader gwałtowne. Powstrzymywane przez spiętrzone masy lawy, wzbierają one po nad nie i ostatecznie spadają na dół niezliczonemi, a wspaniałemi kaskadami. Niosą one bądź zimną wodę lodowców, bądź ciepłą źródeł gorących.

[1]) Stalaktyty są to w najnowszych czasach powstałe wapienne utwory postaci różnokształtnych sopli, zwieszających się ze sklepień, z pochyłych ścian wielu grot, pieczar.

[2]) stalagnity — to przesiąkające przez wapień nacieki wapienne o kształcie stożkowym, tworzące się na spodzie groty, pieczary.

Geologiczna budowa Islandyi w krótkich streszcza się słowach: jest to nagromadzenie wybuchowych mas skalnych nowszego pochodzenia, jakie z łona ziemi wydarły się w stanie roztopionym, zastygły i wykształciły się krystalicznie. Na pustych, wewnętrznych obszarach wyspy, znajdują się wielkie masy lotnego piasku, wielce dla swej miałkości niebezpiecznego, który przez burze w góry usypywany bywa. O ciszy i bez tego niema mowy nigdy w tym pod wielu względami najosobliwszym kraju europejskim. Wszędzie niemiłe huki słyszy się w łonie ziemi, naraz ziemia trząść się poczyna, para z niej się wyrywa, powstają nowe kratery, z których leją się potoki lawy lub podnoszą olbrzymie masy popiołu wulkanicznego, spadającego na całą wyspę. Tym sposobem nie jeden już tysiąc kilometrów kwadratowych pastwisk dawniejszych zmienił się w płonną pustynię.

Skutkiem wpływów prądu zatokowego, klimat nie jest tak surowy, jakby się zdawać mogło. Z tem wszystkiem niemożliwą jest uprawa roli, gdyż mgły całemi miesiącami pokrywają wyspę, a wilgoć za wielką jest w stosunku do ciepła słonecznego. Lasów nigdzie niema — nieco tylko jarzyn hoduje się tu i owdzie. Wyspa cała, mająca przeszło 100.000 kilometrów kwadratowych przestrzeni, daje przytułek zaledwie 70.000 mieszkańcom, potomkom odwiecznego szczepu germańskiego, posiadającym bogate zabytki piśmienne i poetyckie. Stolicą wyspy jest Reykjavik (3.900 mieszkańców), z godnem zaznaczenia życiem duchowem, jakiego trudnoby przypuszczać na owym odgrodzonym od świata lądzie.

Ludowe skarby.

Mój ty miły Boże!
Co jest szerszego nad morze?
Co jest dłuższego od pola?
Co bystrzejszego od konia?
Co jest od miodu słodszego?
A co nad brata droższego?

Ryba się z morza ozwała —
Od rzeczy pleciesz dziewczyno. —
Szersze jest niebo od morza,
A dłuższe morze od pola,
Bystrzejsze oczy od konia,
Słodszy jest cukier od miodu,
A luby droższy od brata.



(H. Maluła) Quo vadis Domine? - (Dokąd idziesz Panie?)

Praca i odpoczynek.

Poważna praca jest jedynym z nieodzownych warunków zdrowia. Ten nawet, dla którego ona nie jest warunkiem bytu, powinien jej się dobrowolnie oddawać. Tylko bowiem w ruchu i ćwiczeniach rozmaitych rozwijają się siły ducha i ciała. Większa ilość ludzi, okolicznościami zmuszoną bywa do pracy. Po ośmiu, dziewięciu godzinach prawdziwej pracy, u przeważnej liczby ludzi, siły bywają już wyczerpane; tak samo umysłowe jak i cielesne, gdyż umysłowa praca tak jak cielesna męczy i nuży. Niektóre rodzaje pracy, jakoteż godziny tejże dla małoletnich, prawnie są określone i nakazany czas spoczynku. Kto nie jest pod takim nadzorem, powinien dobrowolnie dbać i ograniczać czas swych zajęć, ażeby dać spoczynek ciału i umysłowi Podobne przekroczenia powodem są zupełnego wyczerpania i choroby, temu zaś zapobiedz można, umiejętnie rozdzielając czas swój na pracę i na spoczynek. Najważniejszym warunkiem jest: punktualnie zbierać się do pracy, chętnie i z silnem postanowieniem wypełnienia jej postępować, i po spełnieniu zadania, odpoczywać. Uczuwane znużenie łatwo jest zwalczyć przerywając na pewien czas pracę, gdyż nad miarę pracując, trzeba też na dłużej później przerwać pracę. Porządek i spokój, z jakim się pracuje, zapewniają prędkie postępowanie pracy i oddalają męczące rozdrażnienie.

Najlepszy spoczynkiem jest sen. Bezsenność nawet w braku zajęcia umęcza z czasem. Sen powinien podług zapatrywań najsławniejszych lekarzy trwać: u dzieci od sześciu do dziewięciu lat wieku, jedenaście godzin, od dziewięciu do jedenastu lat dziesięć i pół godzin, od jedenastu do trzynastu dziesięć godzin, od trzynastu do czternastu dziewięć i pół, zaś u dorosłych ośm i pół do dziewięciu godzin na dobę. Najlepiej jest, urządzić się w ten sposób, ażeby o siódmej z rana, potrzebna ilość godzin spoczynku w śnie,

była już za nami. Wstawanie o oznaczonej godzinie, nie przedłużanie snu nad miarę, jest prawie ważniejszem jak punktualne układanie się do snu, gdyż zapewnia na nowo zdrowy sen.

Czas nie zajęty snem lub pracą, niech służy do posilenia się jadłem i rozrywkami. Umysł znużony myślącą pracą powinien być przynajmniej przez dwie godziny dziennie odświeżony. — Szczególniej zbawiennym jest ruch muszkułów na świeżem powietrzu. Długie, przyjemne spacery (nie po pełnych kurzu ulicach), praca w ogródkach około warzywa i kwiatów, gimnastyka, rower, wiosłowanie, pływanie, gra w tennisa, gry na świeżem powietrzu, w zimie łyżwowanie, nawet walki ze śniegiem, wszystko to jest bardzo polecenia godne.

Obok ćwiczeń cielesnych, nie powinniśmy też zapominać o rozrywkach, duszę, umysł i serce podniecających. Takiemi są: zajmowanie się sztukami pięknemi w ich tak rozmaitych gałęziach, biorąc w nich udział już to twórczy lub też obserwujący, roboty ręczne, zajmująca a zarazem kształcąca literatura również odpowiednie i dobre towarzystwo. Człowiek szukający samotności, stroniący od ludzi, ma w sobie zarodki poważnej choroby, którą zwalczyć jednak można wybierając i przebywając w dobrem otoczeniu. Fałszywe, a często ze szkodliwemi następstwami połączone są rozrywki poszukiwane w lokalach publicznych, gdzie próbowanie rozmaitych trunków uprawiane jest jakby sport, z dodatkiem długiego siedzenia przy grach hazardowych, niedobrem jest też poświęcanie długich godzin na czytanie książek, których treść dostarcza ujemnego rodzaju przyjemności; ostatecznie odwiedzanie widowisk, demoralizująco działających na podnieconą wyobraźnię.

Koniecznem warunkiem zdrowia jest też odpoczynek niedzielny. Niedziela i święta powinny być zupełnie, po oddaniu czci Bogu, wyzyskane na odpoczynek i rozrywki; na pierwszem miejscu zawsze jest przebywanie na świeżem powietrzu i spacery, przebywanie w gronie rodziny, i w towarzystwie, dobra muzyka, teatra, koncerta, odczyty, które również wpływ przyjemny i bardzo dodatni wywierają na zdrowie. W każdym prawie zawodzie, pożądane są też raz w roku — wakacye; jest to jakby szereg przyjemnie przepędzanych świąt i niedziel, pozwalających nowych sił zaczerpnąć do pracy i walki z bytem. Wówczas można korzystać ze sposobności dłuższych wycieczek lądem lub wodą, wówczas jednak celem powinien być wypoczynek i miłe podniecenie, często jednak niestety bywa zastąpionem bezmyślną jakąś gonitwą za upatrzonym a bezsensowym przedmiotem.

Kronika naukowa.

Motor słoneczny.

Myśl zużytkowania ciepła słonecznego, jako źródła siły, nie jest nowa. Pierwszym, który posiłkował się tem ciepłem, był Archimedes. Historya opowiada, że podpalił swemi zwierciadłami wklęsłemi statki rzymskie. W czasach nowszych Francuz Monchet zbudował maszynę słoneczną. Na powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych ustawił szereg zwierciadeł kształtu epileptycznego. Skutkiem takiego uszykowania zwierciadeł do ogniska ich przedostało się tyle ciepła słonecznego, że wytwarzało ono motor siły jednego konia. Od czasów Moncheta nauka i technika wielkie uczyniła postępy, lecz jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od dnia, w którym motor słoneczny zostanie rozpowszechniony. Znany chemik, profesor Wilhelm Ostwald z Lipska, zbudowanie maszyn, służących do bezpośredniego wytworzenia z ciepła słonecznego źródła siły, nazwał jednem z najdonioślejszych zadań, jakie ludzkość winna w przyszłości najbliższej rozstrzygnąć.

Największa ze wszystkich istniejących maszyn słonecznych znajduje się w South Pasadena, w Kalifornii i służy do dostarczania wody dla nawodnienia ziemi. Maszyna ta kształtu olbrzymiej misy eliptycznej, ma 11 metrów średnicy i składa się z 1788 małych zwierciadełek, które są tak uszykowane, żeześrodkowują promienie słoneczne i kierują je na ognisko elipsy; tutaj znajduje się kocioł, około 800 litrów pojemności. Giętka rura przeprowadza parę z kotła do motoru, który rozwija energię siły dziesięciu koni i pompuje wodę ze studni szybkością 11,000 litrów na minutę. Maszyna jest ustawiona jak luneta, tak, że obraca się wraz ze słońcem.

Bilardy na okrętach.

Wiemy wszyscy, jak wielkich dokładają starań przedsiębiorstwa żeglugi, szczególnie transatlantyckiej, dla dostarczenia swoim klientom, t.j. podróżnym, coraz większych wygód i zbytków. Rozkapryszeni podróżni szukają na okręcie nawet wszystkich rozrywek i przyjemności, do których są przyzwyczajeni na lądzie. Co dziwniejsza, nawet ci, którzy prowadzą życie w warunkach niemal skromnych, z chwilą gdy się znajdują w podróży, zwłaszcza na pokładzie okrętu, miewają zachcianki wprost nieprawdopodobne. Niemałą



NA FALI.

w tem rolę odgrywa nieznajomość najprostszych zasad równowagi okrętu na wzburzonem morzu.

Przysłowiowem się stało żądanie pewnej monarchini około r. 1860, która chcąc upamiętnić bytność swoją w szkole ćwiczeń marynarskich, odbywających się wówczas w pewnym statku nadbrzeżnym, zaproponowała kapitanowi pewną sumę na urządzenie dla młodych marynarzy rozrywki w postaci bilardu. Ale co się wydawało śmiesznem temu lat 50, dzisiaj, kiedy każdy szanujący się okręt posiada własny teatr, salę do zabaw dla dzieci, szkołę dla młodzieży itp., nie zdziwi nas bynajmniej rozgrywanie partyi „karamboli“ na wzburzonem morzu.

Pewna fabryka londyńska buduje od niedawna bilardy niewrażliwe na kołysanie się okrętu i uderzenia fal o kadłub okrętowy.

Właściwa powierzchnia bilardu, wybita tradycyjnem suknem zielonem, jest wpuszczona w rodzaj ramy na czterech nogach w ten sposób, że pozostaje ona stale poziomą przy pomocy całego systemu przeciwwag i resorów automatycznych, gdy inny mechanizm przenosi wszelkie wstrząśnienia okrętu jedynie na ową ramę. Tarcie jest zmniejszone do minimum wskutek zastosowania łożyska na kulkach, a cała maszynerya, choć skomplikowana, jest obliczona dokładnie i dostosowana zupełnie do okoliczności.

Tak fantazye ludzi bogatych pobudzają nieświadomie myśl twórczą wynalazców i konkurencyę przemysłową.

Złote ziarna

Człowiek smutny doznaje rzewnej radości na widok szczęścia ukochanych swoich.

E. Orzeszkowa.

Rozumniej jest w cierpieniu milczeć, niż głośne skargi zawodzić.

Serce matki jest arcydziełem stworzyciela.

Kto wymaga od ziemi więcej, niż ziemia dać może, wyrzec się musi szczęścia i spokoju.

Wiktor Gomulicki.

Najgłębiej w serca ludzkie patrzą te oczy, które ze swego najwięcej łez wylały.

E. Orzeszkowa.

Żebractwo ongi i dziś.

Szlachetne miłosierdzie, kierowane nie rozumem, lecz łatwowiernością, szkodę dobru ogólnemu wyrządza. Ono wyhodowało żebractwo, istną plagę społeczeństw i tę plagę utrzymuje po dziś. Żebractwo istnieje od niepamiętnych czasów, a zawsze było doskonałym procederem. W wydanej w Krakowie, w r. 1614, broszurze satyrycznej, autor świetnie scharakteryzował żebractwo polskie i odsłonił jego praktyki, wymierzone przeciwko dobroci i łatwowierności ludzkiej. Dziady i baby prowadzą w broszurze tej rozmowę, zwierzają się i pouczają wzajem.

„— Niema to, jak życie dziadowskie! — mówi stary wyjadacz. — Jeśli ci się praca przeje, a zechcesz zakosztować dobrego życia, idź tylko między dziady. Każ ino sobie, wprzód nim biesiagi na plecy weźmiesz, wyłupić oczy, albo nogę uciąć i szczudło przyprawić. Jeśliby ci się zaś to za trudnem zdawało, możesz w aptece dostać jakiego leku, co ci się kości od niego popadają, a przyłożysz gdzie do ciała, to zrobi się rana bolesna. Ot i dobrze. A jeszcze inna rada. Weź jaskru i obłóż nim nogi. Trzeciego dnia skóra ci oblezie, a jeszcze lepiej, jeśli ci się rany porobią; dowleczesz się tylko z niemi na jarmark, to tak, jakbyś wieś kupił. Usiądź tylko gdzie w rynku albo przed domem, utargujesz, jak w kramie. Trzeba umieć łgać, a zobaczysz, jak ci dawać będą.“

Inny dziad-wyga Chelpa zwany, potwierdza to: „— I ja powiadam, że żebranina to najlepszy chleb. Wy starsi, połatajcie płaszczów, a młodzi na pielgrzymkę się wybierzcie, naróbcie sobie toczonych maczug i tłomoczków skórzanych, kapeluszy ze sznurkami i paciorków do pasa, nie zapomnijcie czaszy miedzianej, półgarncowej, i po świecie się rozbiegajcie; ale nie wszyscy razem, bo ludzieby poznali żeście fałszywi pielgrzymi. Wy, starsi brodacze, idźcie z puszkami; włożywszy je na szyję, wędrujcie. I jamci tak robił, chodziłem ze skarboną i listem od miasta do miasta, a zalecano mnie jeszcze z ambon, żem niby zbierał na organy lub kościół i łowiłem tak groszaki. Wy, zdrowi jeszcze, co kaleków udawacie, ponadłamujcie sobie nogi, pozawiązujcie głowy, a niech tam zaraz drugi świadczy, jak go choroba suszy. Inszy — a na to najwięcej uprosić można — niech Bożą kaźń udaje, zwłaszcza po odpustach; w czasie kazania niech się pocznie rzucać, a nogami wierzgać, żeby go ledwie dziesięciu wynieść mogło z kościoła: pójdą wszczyscy za nimi, a jeśli

się jeszcze okrwawi, to pewnie sporo dostanie. Insi udawajcie błędnych, gadajcie lada co, bądźcie niby głuchymi, a każcie sobie na wpół głowę ogolić. Nie gadajcie nic, tylko wyjcie wilczym głosem, to lepiej.

„Są różne sposoby. Jeśli wam jałmużny nie dawają, starajcie się jakkolwiek ludzkie oczy ściągnąć, krzyczeć bełkotać, albo na ścieżce nogę wystawić, ręką kiwać lub po pas się obnażyć i ciało pokazać. Ludzie się będą dziwowali i wołali: — Cóż to mu się stało? — A toć już konam! — wołaj, napiwszy się kwartę gorzałki dla śmiałości. Babkę też postaw z garnuszkiem gdzie blizko, niech tam co prawi, jakie trefne przypowieści, żeby niemi gruby naród zwodziła. „Baby też niech śpiewają „Wianek Różany“, to lud posłyszawszy, da im co. We wsi baba sobie, a dziad sobie, niech się rozejdą. A niech podpatrują, gdzie kto pieniądze kładzie — boć ich nie posądzą pewnie. Noście z sobą maście, wódki, świeczki, zioła, opowiadając, że umiecie leczyć wszelakie choroby. Nie wadzi czasem, kiedy kogo boli, pomacać jedną ręką po bokach, a drugą w kieszeni. Umiejcie też kropić obory i komory, rolę i pszczoły, wróżyć z dłoni. Chwalcie się, a łapcie grosze. Macie też zysk ze świeczek, co je po odpustach przedawacie, albo z różnych wotów — rąk, nóg, koni, krów, klacząt; lud to kupuje i ofiaruje, a wam zysk. Róbcie krzyżyki drewniane, chodźcie na kolanach. W lesie idąc, zawiązujcie gałązki, a mówcie, że to zarośnie za trzy lata. A spotkacie kogo z próżną konwią, to mówcie, że to bardzo źle a szkodliwe. Ale zakracze gdzie wrona nad domem — mówcie, że to źle wróży. We czwartek po południu zabraniajcie prząść kądzieli pod grzechem śmiertelnym, a w piątek zakazujcie chleba piec. Uczcie, żeby rydel w izbie nie stał, ani pokrywa na stol; do was takie nauki należą. Mówcie iż na wspak źle izbę zamiatać, nakazujcie czarownicom palce łamać po śmierci. Tak to wszelakości nagadujcie, nauczajcie dziwów i guseł, ażebyście ludziom potrzebni byli.“

Broszura wspomniana podaje długie wyszczególnienie praktyk żebraczych, ale poprzestajemy tylko na urywku przytoczonym, z którego można się przekonać, że od XVI w., łatwowierność ludzka nie uległa zmianie. Szalbierstwo po dziś istnieje, wyzyskuje ludzi, a pomiędzy prostaczkami utwierdza gusła i zabobony.

To samo spostrzegamy zagranicą. W jednym z tygodników francuskich umieszczono artykuł o żebractwie w Paryżu. Autor stwierdza, że plaga ta w stolicy Francyi staje się coraz nieznośniejszą. Liczba żebraków wzrasta, spotyka się ich na każdym kroku, w najrozmaitszych postaciach. Wszelkie przepisy okazują się bezradnemi. Publiczność jest napastowana wszędzie — ua ulicach, w tramwajach, w zakładach publicznych, przez wyzyskiwaczy rozmaitego wieku, począwszy od dzieciuchów, którzy gwałtem wsuwają bukieciki kwiatów, ołówki, kalendarzyki lub inne drobiazgi, aż do najstarszych, którzy nieraz z brutalną natarczywością domagają się datku.

Zdawałoby się — pisze dalej tygodnik paryski — że żebrak zamożny jest niemożebnością, a przynajmniej zjawiskiem wyjątkowem. Otóż nie. Żebracy traktują swoje „zajęcie“ jako rzemiosło, a możemy zapewnić, że rzemiosło to jest bardzo popłatne. Nie ulega wątpliwości, że najgorsze dni żebraka znaczą tyle, co najlepsze pracowitego i zdolnego rzemieślnika.

Żebractwo paryskie zamieszkuje przeważnie okolice fortyfikacyi Paryża; najwięcej ich mieszka przy bramie Levallois-Perret; zajmują tam całe dzielnice. Mieszkają w domkach własnych, zbudowanych z drzewa, lub w mieszkaniach, przerobionych z wielkich wozów, które niegdyś służyły do przewożenia mebli. Domki te stoją gęsto, a dokoła nich roi się ludność płci obojga i rozmaitego wieku. Każdy ma swoją robotę — można powiedzieć, że życie tych ludzi jest ujęte w pewien program, nawet bardzo ścisły. Ponieważ pożywienie gotują latem przed domami lub na podwórzach, łatwo się przekonać, że odżywiają się obficie i smacznie, nie żałując sobie niczego. Każdy ma swoją specyalność, a każda specyalność ma swego nauczyciela. Są więc tam „bukieciarz“, handlarze sznurowadeł, ołówków, papieru itp. drobiazgów. Obowiązkiem ich jest zaczepiać przechodniów i wmuszać w nich swój towar wszelkiemi sposoby. Są kataryniarze i wędrowni śpiewacy. Są tacy, co prowadzą za sobą wychudłe dzieci, aby ich widokiem wzbudzać litość. Są udający rozmaite kalectwa. Są wreszcie transformiści, którzy wciąż się przekształcaję. Jeden z tych ostatnich jest znany w Paryżu. Raz się zjawia bez stóp, posługując się kulami; innym razem wożą go na wózku, jako zupełnie pozbawionego nóg; to znów przedstawia się z jedną tylko nogą i ręką. Przekształceń dokonywa za pomocą różnych przyrządów. Nad całą tą rzeszą panuje „starszy“, sędziwy żebrak, i jego zgrzybiała małżonka. Włada on despotycznie, a słuchają go wszyscy bez sarkania. Sam rzadko udaje się na wyprawy żebracze, przesiaduje w domu, zwracając baczną uwagę na wszystko. Ubrany w odzież wygodną, ma cały przód kamizelki zawieszony sztukami rozmaitych numizmatów, które go z da-

leka czynią podobnym do uorderowanego dostojnika.

Warszawa i Kraków również posiada mnóstwo żebractwa. Podobno jest ono także zorganizowane w pewien cech, o czem jednak dokładnych wiadomości nie posiadamy.

Czy śmierć jest bolesną?

Słowa jednego z filozofów rzymskich głoszą: „Więcej niż trzeba cierpi ten, kto żyje w obawie przed cierpieniem“ — zawierają zwłaszcza głęboką prawdę odnośnie do strachu człowieka przed śmiercią. Rozstanie się z życiem jest procesem budzącym trwogę. Ale czy bolesnym? Śmierć gwałtowna nie sprawia fizycznego bólu. Zeznania ludzi, którzy stali już nad grobem skutkiem wypadków lub katastrof żywiołowych, świadczą, że doznawali uczuć miłych raczej, niż strasznych. Wedle świadectwa osób wiarogodnych, które wyszły cało z pod szpon dzikich zwierząt, a więc zaglądali śmierci w oczy, ta chwila nie była bolesną ani pod względem fizycznym ani moralnym. Zmarły niedawno profesor wiedeński Nothnagel, w pośmiertnem dziele o śmierci tłómaczy to — silnem wstrząśnieniem systemu nerwowego, wywołującem znieczulenie. Tego samego uczucia: zupełnej obojętności — doznają ludzie, spadający w przepaść. Whymper, który spadł z Matterhornu na gleczer, z gleczera na skały, ze skał znowu na niższe gleczery i tak staczając się runął w przepaść 70 metrów, wśród tego upadku nie doświadczał wcale bólu, tak jak człowiek zachloroformowany, pomimo, że miał zupełną przytomność i świadomość katastrofy, oraz jej następstw. Dowodzi zatem, że śmierć, spowodowana upadkiem z wyżyn, jest najmniej bolesnym ze zgonów.

To samo twierdzą ludzie, którzy tonęli i zostali uratowani.

Śmierć skutkiem upływu krwi przychodzi też bez bólu.

Ale ważniejszem, ciekawszem dla większej liczby ludzi jest stwierdzenie, czy śmierć, będąca ostatecznym wynikiem choroby, jest straszną i bolesną. Jak się ten proces odbywa? I w tym kierunku doświadczenia — ma się rozumieć niezupełne — są pocieszające i potwierdzają słowa Hofelanda w jego słynnej „Maksobiotik“ wyrażone: „Nikt — pisze — nie czuł śmierci. Nie posiadamy świadomości w chwili, gdy opuszczmy ten świat, zarówno jak w chwili, gdy doń wkraczamy“. Wyjątkowe są wypadki, w których umierający doznaje cierpień do ostatniej chwili. „Bolesną jest choroba, nie zaś śmierć.“ Tak dowodzi Nothnagel, wyłuszczając, że nawet gdy sama natura, nie zaś wypadek nieprzewidziany, śmierć sprowadza, i wtedy nawet proces umierania nie bywa bolesnym.

Wiadomo, że najlżejszą jest śmierć ze starości. To jakby słodkie, spokojne ułożenie się do snu. Wogóle śmierć bywa zwykle poprzedzana omdleniem lub ustaniem działalności serca. „Asfiksya (zanik pulsu) jest ową siłą dobroczynną, wyrównującą drogę od życia do śmierci“ — tak nas pociesza z za grobu Nothnagel.

TO I OWO.

Rząd duński przeciw alkoholowi.

W Danii, która najwięcej z krajów europejskich spożywa wódka ($14^1/_2$ litra na osobę), od dawna już istnieje silny ruch przeciwalkoholowy, który coraz więcej także doznaje poparcia od rządu. Niebawem w parlamencie duńskim omawiać będą projekt nowego prawa o „lokalopcyi“, wygotowany przez parlamentarną „komisyę przeciwalkoholową“. Koncesye na wyszynki są w Danii osobiste, wygasają więc ze śmiercią właściciela lub z przejściem szynku w inne ręce. Według nowego prawa o „lokalopcyi“, dalsze istnienie szynku zależne będzie od wyniku głosowania ogółu ludności dorosłej (ponad 25 lat) obu płci. Jeżeli większość głosujących nie życzy sobie szynku, to się go zamyka. Prawo to, dające ludności ostrą broń do ręki w walce z alkoholem, prawdopodobnie przejdzie w parlamencie, bo wielka część posłów jest mu przychylna, a rząd usilnie je popiera, szczególnie nowy minister kolei żelaznych *Jesen,* prezes ministrów *Zahle* (obaj są abstynentami) oraz minister spraw wewnętrznych, *Munch,* zajęli się gorąco przeprowadzeniem tego prawa.

Gdzie umiera najwięcej dzieci.

Norwegia przed laty 80 była krajem najbardziej pijackiem w Europie; prawie każdy dom włościański miał swą własną gorzelnię. Na 1000 noworodków umierało wtedy 300 w pierwszym roku życia. A przecież wówczas Norwegia nie odznaczała się ani lichemi mieszkaniami, ani rozwojem przemysłu, ani innym czynnikiem, któremu

możnaby było przypisać winę. Wtedy rozpoczął się w Norwegii silny rych wstrzemięźliwości, lud uświadomiony przeprowadził prawa, znoszące gorzelnie domowe i ograniczające sprzedaż napojów upajających, a w ślad za tem śmiertelność niemowląt z mniejszyła się ogromnie i wynosi dziś zaledwie 80 do 90 na tysiąc. Dziś wzrasta tam nowe, silne i zdrowe pokolenie. — W Bawaryi zaś, w znanym kraju piwa, panują dziś te same stosunki, co ongi w Norwegii: na 1000 niemowląt około 300 umiera w pierwszym roku życia, to znaczy, że umiera prawie jedna trzecia część dzieci. Jaki ogrom troski, łez, zmartwienia, ileż zmarnowanej ludzkości przedstawiają te liczby!! Na 237,000 dzieci, rodzących się rocznie w Bawaryi, około 6500 rodzi się nieżywo; z pośród 230,000 dzieci, które żywo przyszły na świat, umiera już w pierwszym roku życia 69,000.

Najpiękniesza amerykanka.

W Chicago odbywał się się konkurs, którego celem było ujawnienie naczystszego i najpiękniejszego typu Amerykanki. Pobiła kilkaset współzawodniczek 17-letnia słuchaczka wyższej szkoły Engleword, miss Genowefa Lyon. Nie stawiła się osobiście na turniej, przysłała tylko swą fotografię. Harmonia i czystość rysów oraz linii podbiła sędziów. Po ujrzeniu pierwowzoru podobizny, nie doznali zawodu. Miss Lyon będzie mogła się chlubić, że jej stawiono posągi za życia. Rzeźbiarz Józef Korbel uwieczni jej postać w marmurze. Posąg najpiękniejszej Amerykanki nie ozdobi publicznego placu, lecz iście po amerykańsku będzie ustawiony na dachu olbrzymiego hotelu Shermad w Chicago. Po za tem odznaczeniem, miss Lyon otrzyma 200 dolarów nagrody. Jest ona szatynka ma oczy piwne, nosek greckiej bogini, a usta śmiejącego się dziecka.

Skrzynka Redakcyi.

— **WP. J. Jur.** w Poznaniu. Za nadesłaną nowelkę dziękujemy serdecznie. Wskutek nawału manuskryptów, korzystamy z niej dopiero w dzisiejszym numerze. Prosimy bardzo pamiętać o nas i w przyszłości.

— **WP. Andrz. Sz.** w... koło Berlina. Wskazówki Pańskie co do walki z niemczyzną są pod wielu względami i cenne, ale niestety — niewykonalne. Do tego trzebaby nowe prawodawstwo stworzyć, trzebaby — słowem — dokonać przewrotu w każdej dziedzinie.

DLA NASZEJ DZIATWY.

Jak ja urosnę.

A jak ja urosnę
Jak już duży będę,
Przypaszę szabelkę,
Na konika wsiędę.

A ten konik siwy
Ma jedwabne grzywy
Poniesie mnie w kraj daleki.
Od ojczystej niwy.

Oj! niwo, ty niwo,
Ty szumiący łanie,
Nie ujrzą cię oczy moje,
Gdzie ten konik stanie.

A wy, złote kłosy,
Żegnacie mnie w drogę,
A ja patrzę, a ja słucham,
Odjechać nie mogę.

M. Konopnicka.

Zagadki z nagrodami.

Zagadka 1.

Pierwsza-czwarta w starym Zakonie była żydom dana,
Druga-trzecia-czwarta w skwar letni bywa pożądana.
Całość jako instrument u nas dobrze znana
I przez młodych i starych chętnie jest słuchana.

Zagadka 2.

Wprost — bywa do wypicia,
Wspak — trudny do zdobycia.

Za trafne rozwiązanie dwóch powższych zagadek wyznacza Redakcya „Tygodnika Narodowego“ **trzy nagrody w postaci 3 pięknych książek.**

Rozwiązania nadsyłać należy do 18 marca na ręce redakcyi „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. (róg Rynku). W drugiej połowie marca nastąpi losowanie nagród.

Nazwiska wszystkich abonentów, którzy trafnie rozwiążą zagadki, oraz tych, którym przypadnie nagroda, ogłosimy w „Tygodniku Narodowym“.

O nagrodę ubiegać się mogą tylko abonenci „Tygodnika Narodowego“. Na dowód prosimy załączyć kwit, jaki wydaje poczta, wysyłającym przekaz pieniężny do Administracyi.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Dziś potrzeba, ażebyś natychmiast zdał to miejsce święte choćby w ręce plugawe, albowiem nie dopuści Bóg, aby mu co złego uczynili i napełni ich grozą i strachem.

— Godzina przyszła ofiar.

— Dzisiejszej nocy jeszcze masz wynijść ztąd i iść w świat, gdzie oczy poniosą. Nad tobą Bóg!!

— Idź wybrańcze na tułactwo!

— Wybrańcze! — powtórzył Pułaski z boleścią.

— Ale niech cię pycha nie podnosi choć wybranym jesteś, bo razem z nimi pójdą też na tułactwo i najostatniejsze pomyje narodu, abyście nie mogli pochlubić się, żeście synami Bożymi. A będą was uczyć tej pokory zbytnicy, którzy wezmą tułactwo, aby je sponiewierali i zwalali u obcych.

Jakby złamany wysiłkiem, domawiając tych słów żebrak pochylił się i padł w stojące za nim krzesło, a chwilę pozostał milczący z zamkniętemi oczyma, jakby duchem odpoczywał i otrzeźwiał się. Pułaski stał przed nim nie śmiejąc rzucić pytania.

— Duch mocen, ale ciało słabe... — rzekł zmienionym głosem starzec. — Oto dwa dni oprócz chleba spleśniałego nie miałem nic w ustach, a nim powrócę do celi mojej, nie wolno mi też tknąć nic, oprócz chleba i wody. Przynieś mi czarnego chleba i podaj kubek wody czystej, abym się orzeźwił.

— Nic więcej? — spytał Kazimierz.

— Nic — odpowiedział żebrak — nakarmię ciało, aby mnie odniosło tam, gdziem być powinien, a gdy rozświta odprawię ofiarę przed ołtarzem Matki Zbawiciela i pokrzepiony pójdę dalej.

— Nie spoczniecie w klasztorze?

— Ani godziny, ani chwili nad tę, która mi jest dana. Przyszedłem ci oznajmić wolę Bożą i być świadkiem, że ją wykonasz.. a potem! pobłogosławiwszy cię synu mój, jako pobłogosławiłem ojcu twemu na bohaterstwo i męczeństwo — pójdę...

— Raczcie mi powtórzyć co czynić mam — odezwał się Pułaski, który zarazem przyniósł dzban wody i chleb i podał je starcowi.

Żebrak pobłogosławił je i wziął, a począł mówić spokojniej, ale stanowczo, jakby wydawał rozkaz nieodwołalny.

— Jest do dnia dosyć czasu, abyś się do drogi przysposobił, o północy siędziesz na koń, sam, lub z temi, których wybierzesz, i którym Bóg myśl towarzyszenia ci natchnie.

— Jakto? przed rankiem? przed mszą twoją, mój ojcze?

— Przed północą... — powtórzył starzec — ja klęknę do modlitwy, ty wyjdziesz, abyś zaraz gotował się do drogi. Bez pożegnania z ludźmi... jako zbieg wyjdziesz. Pobłogosławię cię w imieniu tego, który rozkazuje ci wynijść z miejsca świętego, bo ono nie jest ani własnością jednego pokolenia, ani jednej garści poczciwych dzieci... ale narodu całego i wieków.

Zatem jedna cegła z tych murów wypaść nie powinna przez cię. Idź, spełnij rozkaz!

Pułaski załamawszy ręce stał i wahał się, zdawał się chcieć prosić i modlić, aby mu wolno było dłużej, choć kilka godzin tu pozostać. Tę myśl jego jakby odgadnąwszy żebrak, zawołał.

— Jeśli lekceważyć będziesz rozkazy, naówczas na własne barki weźmiesz winę swą i jej skutki, opuści cię opieka tego, który czuwał nad wami. Zważ co uczynisz, wybieraj.

Zegar klasztorny bił dziesiątą godzinę, starzec ujrzawszy na ścianie krzyż i obraz, nic już nie mówiąc kląkł na modlitwę.

Pułaski stał jeszcze, stał, w ostatku skłonił głowę przybity i po cichu wyszedł z celi.

W korytarzu nieco opodal ode drzwi stało kilku ze starszyzny oczekujących na rozkazy dowódzcy, po chmurnem czole poznali wszyscy, że przychodził z czemś ciężkiem dlań i niepomyślnem.

— Mam świętego pielgrzyma w celi mojej — rzekł — przeto drzwi jej są dla wszystkich zamknięte. Rozkazy wydane na jutro stoją w swej sile, nam z panem Radzimińskim przyjdzie się pójść naradzić, pójdziemy do refektarza... u drzwi moich niech kto stanie na straży, aby spokoju świętemu mężowi nie przerywano. Natychmiast Radzimiński wziął światło, a pan Kazimierz milczący skinął mu, aby szedł za nim.

Reszta oczekujących rozeszła się po swych celach, przeczucia jakieś smutne, nikomu o śnie i pomyśleć nie dozwoliły.

Powrót nagły Pułaskiego, który dniem wprzódy w kilkaset koni był wyciągnął na dłuższą wyprawę i niespodzianie powrócił, dawał najbojętniejszym do myślenia. Wiele też mówiła posępna twarz jego, która nigdy kłamać nie umiała.

Skiba znalazł tu starych towarzyszów broni, którzy się doń zbiegli słuchać opowiadań o losach Krakowa, Tyńca, Bobrka i Lanckorony. Szczególniej wypadki w Tyńcu, potem wieści od Generalności; posłuchy o jej losach zajmowały załogę Częstochowską, wyglądającą odsieczy, żywiącą jeszcze lepsze na przyszłość nadzieje, gdy już niestety — nie było żadnych.

Skiba i Karol opowiadać musieli garstce ciekawych, rozczarowujące nowiny swej niedoli; ale samo ich wytrwanie i przybycie tych niedobitków, jakiejś dodawało otuchy, tym co się łudzić chcieli.

W ostateczności wszystko się zmienia w nadzieję.

Pułaski wszedł z Radzimińskim, zaufanym swym, do pustego refektarza. Radzimiński, który go nie odstępował nigdy, był prawą jego ręką, on po nim brał komendę. Pułaski mu ufał, był to żołnierz mówiący nie wiele, ale żelaznej woli i charakteru.

Odsunęli się od drzwi, aby ich nie podsłuchano, Kazimierz począł od serdecznego uścisku... milczącego, ale pełnego wzruszenia.

Radzimiński zadrżał, uścisk ten nic dobrego nie wróżył.

— Słuchaj przyjacielu — rzekł głosem zmienionym — z niewymownym żalem dzielę się z tobą rozkazem z góry, któremu nawykłem być posłusznym, przychodzi mi on przez usta człowieka, którego jak świętego czczę. Muszę spełnić ordynans, bom żołnierz Boży.

— Co za rozkaz? — podchwycił Radzimiński — żywy i gorączka, gdy szło o konfederacyą — może Suwaronowi poddać Częstochowę — nie! to nie może być! Będziemy jej, jak Kordecki bronić do ostatka, wyginiemy do nogi, a gruzy jej nas przysypią.

— Słuchaj cierpliwie — ze smutkiem odparł Pułaski. — Częstochowa nie lada jest twierdzą i nie samą twierdzą tylko, którą na łup ruinie dać można. Barski zameczek czem był innem. Berdyczow wszakże poszanować przyszło dla Matki Boskiej, cóż dopiero to miejsce, które do milionów, do całej Polski należy.

Tak jest, przyjacielu, Częstochowę oddać musimy. Gdyby była iskierka nadziei, że się utrzymamy, że ocalim, lecz napróżno się łudzić. My z tysiącem zostaliśmy jedni jedyni... garść... odrobina... święte mury te obroniły nas od zagłady.

Ja.. ja muszę was porzucić! muszę odejść, dla wszystkich przebaczenie łatwe... mnie uczynili

królobójcą, aby we mnie zohydzić i pokalać konfederacyą. Za królobójcę! o Boże!

Westchnął Pułaski.

— Wiem, że załoga cała, gdy ja wyjdę, znajdzie łaskę, ucieszą się, że ostatnich Barskich żołnierzy zmienią w pospolitych ludzi.

— A cóż z wami? — spytał Radzimiński — cóż wy myślicie?

— Ze mną — co da Bóg! nie wiem! pójdę gdzie poniosą oczy; abym widokiem mojej niedoli jednał pomoc i współczucie ojczyźnie. Pójdę po narodach, po dworach, po wojskach, apostołując dla Polski.

I począł znowu ściskać starego druha, który jakkolwiek żołnierz zahartowany, człek twardy! zrazu nadąsawszy się, łzy ocierał.

— Za godzinę mnie tu nie będzie — dodał Pułaski. — Muszę z ciemnej nocy korzystać. Uchodzę... uchodzę, jak zbrodzień od szubienicy.

— A! weźże i mnie ze sobą.

— Radzimiński, nie żądaj tego, błagam cię, tobie jednemu powierzyć mogę towarzyszów broni, bolesny obowiązek poddania się tak, aby ani życia ani czci nie stracili. Proście, starajcie się, aby przynajmniej twierdzę wojsku królewskiemu, nie moskalom poddać dozwolono.

— Bracie — dodał tęskno — Bóg wielki, życie cudów pełne... któż wie? dożyjem może, iż szabli znowu dobędziemy w obronie ojczyzny.

— Któż pójdzie z wami? — spytał niespokojny towarzysz.

— Zdaje mi się, że Rogowskiego tylko wezmę, a do usług Bohdanka. Gdzie mnie losy zaniosą, niewiem... ukrainiec mi może rodzinną dumkę na obczyźnie zanuci i łez dobędzie, gdy pierś zduszą.

— Ani słowa nikomu — dodał — idzie o głowę moją, o cześć moją! ani słowa! Dajcie mi pióro i papieru... napiszę do towarzyszów słowo pożegnania... ty jutro tu je... przeczytasz... gdy mnie już tu nie będzie.

Radzimiński powlókł się spełnić rozkaz, nawykły będąc do ślepego posłuszeństwa; Pułaski został sam. Wzrok jego padł na wielki krucyfiks, wiszący na ścianie, kolana ugiął, złożył ręce.

— Prowadź mnie Boże — rzekł w duchu — na męki, na śmierć, na nędzę.. byleś mi dał siłę wytrwania godnym imienia dziecka twojego...

Powracający Radzimiński zastał go jeszcze na klęczkach; ale siadł zaraz pisać nie mówiąc słowa; kazawszy tylko przywołać Bohdanka, którego wierności był pewien.

Za chwilę stawił się wyrostek, dziecko stepu z tą fizyonomią, co piękną być umie, choć nie jest, co się wdzięczy jakimś serdecznym urokiem, oczyma łzawemi, usty malinowemi, a w piersi dziecięcej ma męztwo starca.

Bohdan był chłopakiem ledwo wyszłym z chłopięctwa, ale silnie po kozacku zbudowanym, zwinnym i zręcznym. Oczy miał niebieskie jasne, czoło wysokie, podgolone, a na twarzy ten spryt ukraińca, co się kryje pod dobrodusznością wesołą.

— Co bat'ku każecie?

— Naprzód milczeć jak ryba, a spełnić, co powiem... pod utratą łba. Do stajni bez latarni... iść, konia mego, swego i Rogowskiego okulbaczyć, tak, żeby nikt o tem nie wiedział... w troki dam węzełek... za godzinę powinno być wszystko gotowe... ty jedziesz ze mną.

— Słucham.

— Za godzinę, gdy ludzie się pośpią — wyprowadzisz konie, słomą im obwiązawszy kopyta.

Posłuszne kozacze nie śmiało pytać o więcej.

— Konie choć po ciemku, obmacać dobrze, podkowy, siodła, popręgi, aby nic nie brakło. Radzimiński da klucz od furtki, zwanej wycieczką, konie tam za nią czekać mają.

Idź i spraw się.

Kozaczek popatrzył żywemi oczyma, jakby chciał z pana piersi prawdę wyjeść, zawrócił się i poszedł na palcach.

Ale od drzwi jeszcze spytał.

— Na ile dni koszul, ojcze?

— Na całe życie! — surowo odparł Pułaski... — rozumiesz... koni mi nie obciążać... koszula się znajdzie na ciało, póki dusza w niem... ruszaj.

Bohdanek zatrzymał się, usta mu drgnęły, ale zmilczał, pan nie był rozmowny.

Ciężkież to było pożegnanie z miejscem świętem, z świętą ziemią rodzoną, z towarzyszami doli i niedoli — a najcięższe z tą nadzieją donoszoną do dni ostatnich. Naraz wszystko trzeba było porzucić i iść w ciemną nieznaną przyszłość.

Ale tej twarzy i duszy obcą była słabość co sił pozbawia, im boleść stała się większą, tem energia do pokonania jej rosła.

Gdy się ten dramat serdeczny odgrywał w tajemnicy dla wszystkich, w celi dowódzcy modlił się i spoczywał pielgrzym, a u drzwi jej poziewał chodząc, niby na straży postawiony konfederat.

Skibie leżało na sercu, aby tego starca mógł ucałować ręce, przemówić doń serdecznie, byli dawni znajomi. Rozgadawszy się i upłakawszy ze swemi, wyszedł cichaczem w korytarz, domyślając się gdzie szukać żebraka potrzeba. Pokazano

mu celę Pułaskiego, ale w progu jej żołnierz zaparł mu drogę.

— Komenda panie pułkowniku, nie wolno nikomu.

Skiba się zafrasował, myśląc co pocznie, gdy wewnątrz głos się ozwał donośny. — Puszczaj.

Korzystając z pozwolenia, wszedł coprędzej, na środku izby stał żebrak ów z wyciągnionemi rękami i nie dając się pochylić do swej dłoni Skibie, pochwycił go w ramiona.

— Nie korz się przed zlepkiem, korz się przed Bogiem — jam nie ten co byłem... nie natchniony duchem prorok... ale zdruzgotany obłamek człowieka... z wypłakanemi oczyma.

— Fuimus! fuimus! (Byliśmy, byliśmy!) a za pokoleń naszych już to co było nie powróci.

— Cóż ty stary robaku? powiedz mi skąd? dokąd? Ja coś wiem i nic nie wiem... widzę jak przez mgłę i nie pomnę.

— O moich losach co tam prawić — odparł Skiba. — Ojczyzny losy to moje. Kaleka przyszedłem tu paść w obronie ołtarza... tu bym chciał śmierć znaleść.

Starzec pokiwał głową.

— Oj duszo harda! duszo harda! jakże to was Bóg chłostać musi, aby pokory nauczył... Więc wam koniecznie zwycięstw, albo bohaterskiej śmierci potrzeba, a cierpieć, a siedzieć z głową posypaną popiołem — nie łaska? Więc byście dla dumki waszej w perzynę gotowi miejsce święte obrócić?

— Mamyż broń złożyć i pójść w kajdany? Czyż taka dyspozycya Boża?

— Dyspozycya zawsze jedna — pokora i posłuszeństwo.

Zatrzymał się.

— No, to ci powiem stary a wierny żołnierzu chorągwi Matki Boskiej... powiem ci... Tak.. kazano się poddać... upokorzyć.

— Poszaleliśmy swobodą, popiliśmy się swawolą — nie chciało się króla, nie szanowało prawa, nie uznawało w chamie człowieka... więc oko za oko, ząb za ząb, weźmie mściwy Bóg Izraela.

— „I wyciągnę rękę moją na nie, i uczynię ziemię spustoszoną i opuszczoną od puszczy Deblatha... po wszech mieszkańcach ich... a doznają żem ja Pan“... (Ezechiel 6.)

— Tak synu, kara się dopiero poczyna.

Skibie wargi drżały, oczy się zaczerwieniły, bo płakać nie mógł już, a w piersi gotowało mu się i wrzało, ale nie wybuchnął.

— Cóż mam czynić? — spytał po żołniersku.

— Żyć i pokutować włosiennicą okrytym. Jednego czeka wygnanie między obcemi, drugich wśród swoich sromota... u swoich jak obcy u bezbożnych.

— A dla mnie ojcze, przykazanie jakie? — zapytał Skiba — ja nie mam domu ani łomu, ani dzieci, bom je oddał ojczyźnie, ani majątku, bom go spalił jej na ofiarę, nic prócz życia ciężaru.

— Ulituje się pan — odpowiedział żebrak — ulituje... on sam natchnie, ja nie wiem, ja dla was nie mam rozkazu.

Skiba ręce załamał.

— O ojcze mój święty — zawołał — niechże ja stary pień spruchniały.. burza go lada dzień obali... klasztor mi da przytułek, a suknia mnisza spokój... ale ze mną jest chłopak jak róża rozkwitły, czysty, poczciwy, ochrzcony krwią przelaną w boju, który przysiągł sobie nie wracać do domu. Święte dziecko, dobre dziecko... pokochałem go jak własne.. co z nim pocznę, mój ojcze? powiedz.

— Nie widzę go — rzekł powoli starzec — jak mu imie?

— Karol — Karol Pluta.

— Ten który jechał przy boku twoim. Niech idzie z wybranymi na wygnanie... przywiedź mi go tu... dam i jemu szkaplerze z błogosławieństwem... ale nie rychlej, aż tu przyjdzie Pułaski. Pomodlę się na intencyę waszą.

— Więc żadnej pociechy? żadnej nadziei?

— Synu... Bóg zawsze ma pociechy, Bóg zawsze chowa nadzieję. — Ale czyśmy zasłużyli na nie? Wyście może lepsi od innych, ale dla dziesięciu sprawiedliwych Sodoma i Gomora nie będzie ocaloną. Wierzyliśmy więcej w Turka, więcej w Wołoszyny zdradne, we Francuzy płoche, w Rakuszan... niż w Boga i cnotę... Bóg karze.

— Cóż czynić?

— Modlić się, cierpieć, pracować.

— Długo?

— Starcze! przyszłość się nie mierzy ludzkiem życiem... Świętokradzca, kto ją chce odsłaniać gdy niema woli Bożej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Tak jest — mówił jeden głos — tak jest, to szpieg; zwietrzył on coś bez wątpienia i zapewne przysłano go tu, aby dociekł naszą tajemnicę. Uwolniwszy go, narazimy się tylko, on nas będzie denuncyował.

— Ależ jego słowo? — rzekł drugi głos.

— Słowo da, a potem zdradzi. Alboż on szlachcic, aby można wierzyć jego słowu?

Maurycy zgrzytnął zębami na myśl, że są jeszcze ludzie, utrzymujący, iż dla dotrzymania słowa trzeba być koniecznie szlachcicem.

— Nie zna nas, a więc nie będzie mógł denuncyować!

— Tak w istocie, nie zna nas, nie wie, czem się zajmujemy, ale zna adres nasz i może tu powrócić i zapewne w dobrem towarzystwie.

Argument ten zdawał się być stanowczym.

— A więc! — rzekł głos, który już kilka razy Maurycy brał za głos przywódcy — rzecz już skończona?

— Ależ tak, tak, nie pojmuję twojej wspaniałomyślności, mój kochany; gdyby komitet publicznego bezpieczeństwa miał nas w swojem ręku, widzielibyście, czy robiłby z nami tyle ceremonii.

— Panowie zatem nie zmieniacie swego postanowienia?

— Niewątpliwie i mamy nadzieję, że nie zechcesz stawiać nam opozycyi.

— Ja mam tylko jeden głos, moi panowie, i ten był za przywróceniem mu swobody. Wy zaś macie ich sześć, a wszystkie są za śmiercią, zgoda więc na śmierć.

Pot spływający po czole Maurycego nagle zastygł.

— Będzie krzyczał, wył — rzekł głos. — Oddalili-żeście przynajmniej panią Dixmer?

— Ona o niczem nie wie. Jest w tamtym pawilonie naprzeciwko.

— Pani Dixmer — szepnął Maurycy — zaczynam pojmować. Jestem u tego garbarza, co rozmawiał ze mną na ulicy i odszedł, śmiejąc się kiedym mu nie umiał powiedzieć nazwiska mego przyjaciela. Ale cóż u djabła, pan garbarz ma w tem za interes, że chce mię zabić?

To mówiąc, obejrzał się w koło i spostrzegł żelazny drąg z jesionową rękojeścią.

— W każdym razie — rzekł — nim mię zamordują, przynajmniej którego trupem położę.

I poskoczył ku niewinnemu narzędziu, które w ręku jego straszną bronią stać się miało.

Wrócił potem do drzwi i stanął tak, aby, gdy się otworzą, zupełnie go zakryły.

Serce wyrywało mu się z piersi, wśród tej ciszy słychać było każde jego uderzenie.

Nagle Maurycy zadrżał na całem ciele; jeden głos powiedział:

— Usłuchajcie mię, wybijcie po prostu szybę i przez kraty wypalcie do niego z karabina.

— O! nie, nie, tylko bez hałasu, przerwał inny głos, wystrzał mógłby nas zdradzić. Ach! jesteś Dixmer i cóż twoja żona?

— Właśnie zaglądałem przez żaluzye; ona się niczego nie domyśla, siedzi czytając.

— Dixmer, musisz między nami decydować; czy jesteś za karabinem, czy za sztyletem?

— Wystrzegajmy się palnej broni o ile można. Jestem za sztyletem.

— A więc zgoda. Idźmy!

— Idźmy! — powtórzyło razem pięć lub sześć głosów.

Maurycy, to dziecię rewolucyi, miał serce stalowe, podobnie jak wielu innych, bezbożną duszę, lecz usłyszawszy wyraz idźmy! wymówiony po za drzwiami, które go same tylko od śmierci przedzielały, przypomniał sobie znak krzyża, którego nauczyła go matka, gdy jeszcze był małym, gdy na klęczkach odmawiał codzienne modlitwy.

Kroki zbliżyły się, potem przystanęły. Klucz obrócił się w zamku i zwolna drzwi otworzono.

Gdy się to działo, Maurycy pomyślał:

— Jeżeli będę tracił czas na obronę, zabiją mnie. Raczej sam wpadnę na tych zbójców, tym sposobem zdziwię ich, wyskoczę na ogród, dostanę się na uliczkę i może zdołam się ocalić.

Natychmiast więc rzuciwszy się z lwią siłą i dzikim okrzykiem, w którym mieściła się raczej groźba niż przestrach, obalił dwóch najbliższych ludzi, którzy sądząc go skrępowanym i z zawiązanemi oczami, nie spodziewali się wcale podobnego napadu, rozpędził drugich, w jednej sekundzie dzięki swej zwinności przebył dziesięcio sążniową odległość, spostrzegł na końcu korytarza drzwi otwarte do ogrodu, pobiegł tam wprost, przeskoczył kilka schodów i opamiętawszy się nieco, ruszył ku bramie.

Brama była zamknięta na dwie zasuwy i zamek. Maurycy odsunął zasuwy, chciał otworzyć zamek, lecz nie było klucza.

Tymczasem prześladowcy wybiegli na ganek i spostrzegli go.

— Oto jest! — wołali — strzelaj Dixmer, strzelaj, zabij! zabij!

Maurycy ryknął, zamknięty był w ogrodzie; okiem zmierzył mur i przekonał się, że ma dziesięć stóp wysokości.

Wszystko to trwało zaledwie chwilkę.

Zbójcy rzucili się ku niemu.

Maurycy wyprzedził ich o trzydzieści kroków, spojrzał w koło siebie jak skazany, który pragnie choć cienia nadziei.

Dostrzegł kiosk, żaluzyę a za nią światło.

Jednym więc rzutem przeskoczył dziesięć kroków, schwytał za żaluzyę, zerwał ją, wybił okno i wpadł do pokoju oświetlonego, w którym kobieta siedząc przy kominku, czytała.

Ta przestraszona krzyknęła o pomoc.

— Usuń się Genowefo, usuń się — wołał Dixmer — niech go zabiję.

I Maurycy ujrzał o kilka kroków wymierzoną do siebie lufą karabinową.

Ale zaledwie kobieta dostrzegła go, natychmiast zamiast usunąć się jak jej mąż rozkazywał, okropny wydając okrzyk, wpadła między Maurycego a lufę.

To poruszenie tak wspaniałomyślnej istoty, zwróciło na nią całą uwagę Maurycego.

Teraz on znowu wydał okrzyk.

Była to bowiem tyle poszukiwana jego nieznajoma.

— Pani!... pani!... tu! — zawołał.

— Cicho! — rzekła Genowefa.

A potem obróciwszy się do zbójców, którzy rozmaicie uzbrojeni przystąpili do okna, zawołała:

— Oh! wy go nie zabijecie!

— To szpieg — wrzasnął Dixmer, którego miła i łagodna twarz przybrała teraz wyraz nieubłaganego postanowienia — to szpieg, który umrzeć powinien.

— Szpieg! on! — powiedziała Genowefa. — Pójdź tu Dixmer, słowo ci tylko powiem, a przekonasz się, w jak grubym jesteś błędzie.

Dixmer zbliżył się do okna. Genowefa podeszła ku niemu i coś mu szepnęła do ucha.

Garbarz żywo podniósł głowę.

— On! — powiedział.

— On sam — rzekła Genowefa.

— I jesteś tego pewną?

Młoda kobieta tym razem nie odpowiedziała, lecz obróciwszy się ku Maurycemu, z uśmiechem podała mu rękę.

Wówczas na twarzy Dixmera osiadł znowu wyraz łaskawości i oziębłości. Postawiwszy karabin, rzekł:

— Kiedy tak, to co innego.

Następnie dał znak swym towarzyszom, odstąpił z nimi na bok i powiedział im kilka słów, po których odalili się.

— Schowaj pan ten pierścień — szepnęła mu tymczasem Genowefa — wszyscy go tu znają.

Maurycy żywo zdjął pierścień z palca i wsunął go w kieszeń od kamizelki.

W chwilę potem otworzyły się drzwi pawilonu i Dixmer bezbronny stanął przed Maurycym.

— Przebacz obywatelu — rzekł mu — żem nie wiedział prędzej ilem ci obowiązany! Ale żona moja, pomnąc przysługę jaką jej wyświadczyłeś wieczorem dnia 10 marca, zapomniała zupełnie twoje nazwisko. Nie wiedzieliśmy zatem z kim mamy do czynienia; inaczej, wierzaj mi, ani na chwilę nie bylibyśmy powątpiewali o twoim honorze i zamiarach. Tak więc jeszcze raz proszę, przebacz!

Maurycy zdumiał; zaledwie się na nogach trzymał; czuł, że w głowie mu się kręci; tylko co nie upadł.

Oparł się o kominek.

— Lecz — spytał nakoniec — dla czegoż chcieliście mnie zabić?

— Otóż to sekret obywatelu, który powierzam twojej prawości. Jak wiesz, jestem garbarzem i właścicielem garbarni. Większa część kwasów, których używam do preparowania skór moich, stanowi zakazany towar. Jakoż przemytnicy, z którymi mam do czynienia, dowiedzieli się, że denuncyowano ich w radzie jeneralnej. Widząc, że

się wypytywałeś zląkłem się. Moich przemytników bardziej jeszcze jak mnie samego przestraszyła twoja czerwona czapka, a nadewszystko twoja odważna postawa, i nie ukrywam ci wcale, że śmierć twoja była niezbicie postanowioną.

— Ej, do licha, nic mi nowego nie powiadasz obywatelu, dobrze o tem wiedziałem, bom słyszał całą waszą naradę i widziałem twój karabin.

— Już cię prosiłem o przebaczenie — przerwał Dixmer z rozczulającą dobrodusznością. — Chciejże zrozumieć, że dzięki obecnemu nieładowi, ja i wspólnik mój pan Morand, jesteśmy na drodze zrobienia ogromnego majątku. Widzisz w nas dostawców tornistrów dla wojska; codzień każemy ich sporządzać około dwóch tysięcy. Dzięki szczęśliwej epoce, w której żyjemy, władza i tak mająca dosyć do czynienia, nie ma czasu na ścisłe sprawdzanie naszych rachunków; a tak wyznać ci winienem, łowimy ryby w nieco mętnej wodzie, tembardziej, że jak ci powiedziałem, preparata, które sprowadzamy za pośrednictwem przemytnictwa, zapowiadają nam dwieście zysku na sto.

— Do dyabła! — rzekł Maurycy — nie zły zysk, widzę i pojmuję teraz waszą obawę, aby moja denucyacya nie przerwała go; ale teraz kiedy mnie znacie, jesteście już spokojni, nie prawdaż?

— Teraz — odpowiedział Dixmer — nie żądam już nawet twego słowa honoru, obywatelu.

A kładąc mu rękę na ramieniu i z uśmiechem patrząc w oczy, dodał:

— No, a teraz, kiedy już jesteśmy przyjaciołmi, że się tak wyrażę, powiedz młodzieńcze, po cóżeś tu przyszedł w nasze strony? Rozumie się, jeżeli wolisz o tem zamilczeć, nie żądam wcale twej odpowiedzi.

— Ale, zdaje mi się, żem ci już o tem mówił — wyjąkał Maurycy.

— Prawda — rzekł mieszczanin — prawda, mówiłeś o jakiejś kobiecie.

— O Boże! przebacz obywatelu — odpowiedział Maurycy — ale czuję bardzo dobrze, żem ci się wytłómaczyć winien. Dowiedz się zatem, że szukałem kobiety, która będzie temu kilka wieczorów, zamaskowana, powiedziała mi że mieszka w tym cyrkule. Nie wiem ani jej nazwiska, ani stanu, ani mieszkania, ale wiem że jest małego wzrostu i żem w niej szalenie zakochany.

Genowefa była słusznego wzrostu.

— Wiem że blondynka i ma wesołą minę.

Genowefa była brunetką i miała wielkie myślące oko.

— Nakoniec jest to gryzetka — mówił dalej Maurycy — abym się jej podobał, przywdziałem tę gminną suknię.

— Otóż i wszystko wytłómaczone — powiedział Dixmer z ewangielicką wiarą, której nie zdradzało żadne ukośne spojrzenie.

Genowefa czując, że kolory jej na twarz występują, odwróciła się.

— Biedny obywatelu Lindey! — śmiejąc się mówił Dixmer — jakżeśmy ci niegodziwie kazali czas przepędzać! o! ty będziesz ostatni, któremu złe wyrządzić chciałem. No proszę, tak dobry patryota, brat... Ależ, doprawdy, ja sądziłem że jaki niegodziwiec przybiera twoje nazwisko.

— Nie mówmy więcej o tem — rzekł Maurycy, sądząc że już czas wracać do domu — wyprowadź mię pan na ulicę i zapomnijmy o wszystkiem.

— Wyprowadzić cię! — zawołał Dixmer — opuścić! o nie, nie! ja, a raczej mój wspólnik, wyprawia dziś wieczerzę dla zuchów, którzy cię niedawno zarżnąć chcieli... Spodziewam się, że zechcesz podzielić z nami tę wieczerzę i przekonać się, że nie taki djabeł straszny, jak go malują.

— Ależ — odpowiedział Maurycy uradowany, że jeszcze kilka godzin obok Genowefy przepędzi — nie wiem w istocie czy mam przyjąć...

— Jakto! czy masz przyjąć — przerwał Dixmer — musisz przyjąć: są to równie dobrzy i równie jak ty gorliwi patryoci; wreszcie dopiero gdy się jednym kawałkiem chleba podzielimy, uwierzę, żeś mi przebaczył.

Genowefa ani słowa nie przemówiła. Maurycy okropnych doznawał męczarni.

— Doprawdy obywatelu — wyjąkał młodzieniec — obawiam się, abym cię nie żenował... mój ubiór... zła mina...

Genowefa bojaźliwie spojrzała na niego.

— Prosimy pana z całego serca — rzekła.

— Przyjmuję obywatelko — odpowiedział Maurycy kłaniając się.

— Dobrze więc! pójdę uspokoić moich towarzyszy — rzekł garbarz — a tymczasem ogrzej się kochany przyjacielu.

Wyszedł. Maurycy i Genowefa pozostali sami.

— Ah, panie! — odezwała się młoda kobieta, napróżno usiłując przybrać ton wymówki — nie dotrzymałeś słowa, nie byłeś dyskretnym.

— Co! pani — zawołał Maurycy — czyli żem cię skompromitował? Ah! w takim razie przebacz pani, odejdę i nigdy...

— Boże! — zawołała Genowefa wstając — pan jesteś raniony w piersi! pańska koszula krwią zbroczona!

W rzeczy samej na cienkiej i białej koszuli Maurycego tyle sprzecznej z resztą jego ubioru grubego, szeroka rozeszła się plama zastygłej krwi.

— O! uspokój się pani — odrzekł młodzieniec — jeden z przemytników ukłół mię swym sztyletem.

Genowefa pobladła i biorąc go za rękę:

— Przebacz pan — szepnęła — przebacz złe które ci wyrządzono; ocaliłeś mi pan życie, a ja tylko co nie stałam się przyczyną twej śmierci.

— Nie jestżem dobrze wynagrodzony znajdując cię pani? bo nie prawdaż, pani ani na chwilę nie przypuszczałaś, żem szukał innej nie ciebie.

— Pójdź pan ze mną — przerwała Ganowefa — dam panu świeżą bieliznę... Nie trzeba aby nasi współbiesiadnicy widzieli pana w takim stanie: okrutnym byłoby to dla nich wyrzutem.

— Ileż ja pani sprawiam przykrości — odpowiedział Maurycy z westchnieniem.

— O! żadnej, spełniam tylko mój obowiązek, a spełniam go z największą przyjemnością.

Genowefa zaprowadziła Maurycego do wielkiego gabinetu, który swą wytwornością i smakiem zdawał się wcale nie być odpowiednim w domu garbarza. — Prawda, że garbarz wyglądał na milionera.

Potem otworzyła mu wszystkie szafy.

— Bierz pan — rzekła — jesteś jak u siebie.

I wyszła.

Za powrotem Maurycy zastał już Dixmera w pokoju Genowefy.

— Chodźmy — rzekł — chodźmy do stołu już tylko na pana czekają.

IX.
Wieczerza.

Gdy Maurycy przybył z Dixmerem i Genowefą do jadalnej sali, położonej w korpusie budowli, do której go z razu zaprowadzono, wieczerza już była zastawiona, lecz sala jeszcze próżna.

Sześciu współbiesiadników zgromadziło się po kolei.

Wszyscy odznaczali się przyjemną powierzchownością, po większej części byli młodzi, ubrani podłóg ówczesnej mody, dwóch czy trzech miało nawet na sobie kaftany i czerwone czapki.

Dixmer przedstawił im Maurycego, wymieniając wszystkie jego tytuły i przymioty.

A zwracając się do Maurycego rzekł:

— Obywatelu Lindey, widzisz tu wszystkich, którzy mi pomagają w moim handlu; dzięki obecnym czasom, dzięki rewolucyjnym zasadom, żyjemy tu wszyscy zupełnie równi. Co dzień zgromadzamy się dwa razy u tego stołu i szczęśliwy jestem, że raczyłeś podzielić z nami naszą familijną ucztę. No, do stołu obywatelu, do stołu.

— A... na pana Morand czy nie zaczekamy — bojaźliwie zapytała Genowefa.

— Prawda! — odpowiedział Dixmer. — Obywatel Morand, o którym ci już wspominałem obywatelu Lindey, jest to mój wspólnik. Do niego należy, że się tak wyrażę, moralna część domu; on prowadzi korespondencye, utrzymuje kasę i rachunki, płaci i przyjmuje pieniądze, ztąd więc najwięcej z nas wszystkich ma zatrudnienia; dla tego też spóźnia się czasami. Ale każę mu dać znać.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł obywatel Morand.

Był on wzrostu małego, brunet, z gęstą brwią; czarne oczy pokrywał zielonemi okularami; jak to czynią zwykle wszyscy, którym praca wzrok osłabia, mimo to jednak tryskały z tych oczu błyskawice.

Zaledwie się odezwał, Maurycy poznał zaraz ów głos miły i zarazem nakazujący, który podczas opisanego wyżej sporu ciągle był za łagodnymi środkami. Ubrany był w ciemny frak z dużemi guzami, jasną jedwabną kamizelkę, a białą i delikatną ręką, której jak na garbarza Maurycy nie mógł dosyć się wydziwić, bardzo często podczas wieczerzy poprawiał swój dosyć cienki żabot.

Zajęto miejsca.

Obywatel Morand siedział po prawej stronie Genowefy, Maurycy po lewej; Dixmer naprzeciw żony, inni zaś biesiadnicy obojętnie umieścili się wokoło podłużnego stołu.

Wieczerza była bardzo wyszukana: Dixmer miał prawdziwie przemysłowy apetyt i z wielką uprzejmością czynił honory stołu. Rzemieślnicy czyli ci co za nich uchodzili, dobrze i szczerze w tym względzie dotrzymywali mu placu. Obywatel Morand mówił mało, jadł jeszcze mniej, nic prawie nie pił, a śmiał się bardzo rzadko. Maurycy z powodu może wspomnień, jakie w nim obudzał głos jego, wkrótce żywy uczuł ku niemu pociąg; miał jednak wątpliwość co do jego wieku i bardzo się tem niepokoił; już to brał go za czterdziesto lub czterdziestopięcio letniego, już to za zupełnie młodego mężczyznę.

Siadając do stołu, Dixmer sądził się obowiązanym wyjaśnić niejako swym współbiesiadnikom przyczynę, dla której przypuścił obcego do ich małego grona.

Wywiązał się z tego jak człowiek naiwny i nienawykły do kłamstwa. Lecz biesiadnicy nie zdawali się być trudni w doborze przyczyn, bo mimo całej niezręczności, z jaką fabrykant opowiadał wprowadzenie młodego człowieka, mowa jego wszystkich zadowoliła

Maurycy zdziwiony spojrzał na niego.

— Na honor — pomyślał — sądzę, że sam siebie zawodzę. Jest-że to w istocie ten sam człowiek, który przed godziną z pałającem okiem, groźnym głosem, karabinem w ręku, ścigał mię i koniecznie zabić pragnął? W owej chwili byłbym go wziął za jakiego bohatera lub mordercę. Do kata! jakże to miłość skórek przemienić umie człowieka!

W sercu Maurycego, podczas gdy czynił te uwagi, istniała zarazem tak głęboka boleść i radość, że młodzieniec nasz sam nie umiał pojąć rzetelnego stanu swej duszy. Widział się nakoniec obok pięknej nieznajomej, którą tak długo szukał, słyszał słodkie jej imię, o którem tyle marzył. Upajał się szczęściem, czując ją przy swym boku; chwytał najmniejsze jej słówko, a ilekroć dźwięk jej głosu zabrzmiał, tylekroć wstrząsał najtajemniejszemi struny serca jego. Lecz serce to skołatane było tem co widział.

Genowefa była w istocie taką, jaką ją ujrzał po raz pierwszy; rzeczywiście nie zniszczyła bynajmniej owego snu burzliwej nocy. Była to ta sama kobieta modna; z okiem smutnem, umysłem wzniosłym, a przytem, jak się często zdarzało w ostatnich latach, które poprzedziły ów sławny rok 93, rok naszej powieści, była to młoda dobrego urodzenia dziewica, z powodu coraz głębszego upadku szlachty, zmuszona złączyć się z mieszczaństwem i handlem. Dixmer zdawał się być zacnym człowiekiem; był bez zaprzeczenia bogatym; postępowanie jego z Genowefą przekonywało, że pragnie ją uszczęśliwić. Atoli ta uczciwość, zamożność i dobre chęci, mogłyż zapełnić niezmierny przedział, istniejący między żoną a mężem, między dziewicą poetyczną, młodą, znakomitą rodem, czarującą, a mężczyzną oddanym materyalnemu zajęciu, mężczyzną z gminnem spojrzeniem? Jakiem-że uczuciem Genowefa zapełniała przedział?... Niestety! traf zdawał się dostatecznie przekonywać Maurycego, że miłością; koniecznie więc wrócić musiał do pierwszego mniemania, jakie powziął o Genowefie, to jest, że wieczorem, w którym ją spotkał, wracała z miłosnej schadzki.

Myśl, że Genowefa kochała innego mężczyznę, dręczyła serce Maurycego.

Wtedy wzdychał i żałował, że przybył wychylić większą jeszcze dozę owej trucizny zwanej miłością.

Potem znowu, w innych chwilach, słysząc ten głos tak miły, czysty i harmonijny, badając ten wzrok tak kryształowy, zdający się śmiało pozwalać, aby za jego pomocą czytano w głębi duszy, Maurycy mniemał, iż niepodobna, aby tego rodzaju istota zwodzić mogła i wówczas to gorzkiej doznawał radości, myśląc, że piękne to ciało, materyą należy do tego dobrodusznego mieszczanina, z uczciwym uśmiechem, z gminnemi żarty, że dusza jednak do niego jedynie zawsze należeć będzie.

Mówiono o polityce, bo inaczej być nie mogło.

I o czemże było mówić w epoce, w której polityka do wszystkiego się wtrącała, kiedy malowano ją na talerzach, na ścianach, i co godzina ogłaszano po ulicach?

W tem jeden z biesiadników, który dotąd ciągle milczał, zapytał co słychać o więźniach w Temple.

Na dźwięk tego głosu, Maurycy zadrżał mimowolnie.

Poznał człowieka, który obstając za ostatecznemi środkami, naprzód pchnął go sztyletem, a potem głosował za śmiercią.

Jednakże człowiek ten, uczciwy garbarz, naczelnik warsztatu, bo tak go Dixmer przedstawił, wkrótce przywrócił Maurycemu dobry humor, występując z najpatryotyczniejszemi pojęciami, głosząc najbardziej rewolucyjne zasady.

W pewnych okolicznościach młodzieniec nasz nie był wcale nieprzyjacielem gwałtownych środków, tyle wziętych w owej epoce, a których apostołem i bohaterem był Danton.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nim drzwi otworzył, płacz dzieci dał się słyszeć. W przedpokoju służąca nie spodziewająca się państwa w czułej rozmowie z żołnierzem zapomniała snać o całym świecie. Dwoje dzieci wrzeszczało napróżno wzywając miłosierdzia. Jedno z nich wiło się w koszyku, drugie leżało na podłodze.

Wejście Wolskiego spłoszyło czułą parę, wyniósł się zaraz mężny wojak cichaczem, służąca chwyciła dziecię na ręce. Uspokoiło się jakoś Wolski posępny zbliżył się do kolebki.

W lewo widać było coś na kształt saloniku ubogo a z pretensyą przybranego, niesmaczne cacko, zabytki przeszłości kosztowne mieszały się z bardzo pospolitemi nabytkami późniejszemi. W prawo był gabinet doktora, do którego drzwi zaraz otworzył.

Ciasny o jednem oknie, które do połowy pstry, i niesmaczny stor z koszem kwiatów osłaniał — pokoik zdał się niezamieszkalny i był smutny nad wszelki wyraz. Szare i nagie ściany, stół, na którym leżało kilka książek, kałamarz i pióra, nędzna sofka, krzeseł parę — były okryte kurzem i rzucone bez żadnego starania o wygodę lub pozór przyzwoity. Wolski posadził przyjaciela na sofce a sam stanął przed nim rękami trąc włosy, które się zdały ciężyć mu na wyłysiałej już nieco głowie.

Piękna, niegdyś życiem tchnąca twarz młodzieńca napiętnowana była długiem cierpieniem: nerwowe drgania ją poruszały czasami, oczy biegały niespokojne, w ustach uśmiech się przerodził w smętne jakieś przekrzywienie.

Przybyły gość patrzał, zadumał się nie mając odezwać siły.

— Nie pytam cię — rzekł w końcu po długiem milczeniu — czy jesteś szczęśliwy. Największe szczęście struć może taki doskwierający niedostatek. Niczemby on był dla jednego człowieka, ale z rodziną! Winieneś jej, mój Kajetanie, byś o swym losie pomyślał. W najbardziej zrozpaczonym stanie jest lub można przynajmniej próbować jakiegoś ratunku... Wiesz już, jak ci dobrze z Niemcami. Spróbuj się przenieść do nas...

— Wilhelmina się za nic na to nie zgodzi — zawołał zmieszany Wolski — nie chciałem ci tego mówić — ale ona nie cierpi Polaków... Cóż chcesz, są to uprzedzenia..

— Więc jakże ci dzieci wychowa?

Wolski zamiast odpowiedzi poszedł do okna...

Zadzwoniono w przedpokoju, porwał się i wybiegł szybko...

Garbus wstał i począł się przechadzać. — Po chwili Wolski wszedł blady z listem w ręku. Nie mogąc oderwać od niego oczów, czytał jeszcze wszedłszy długo — cichy wykrzyk dobył mu się z piersi, list rzucił na stół i ręce załamał...

— Cóż się stało znowu? co ci jest...

Wolski padł na sofkę i oczy zakrył.

— Nic złego — odezwał się — nic złego, lecz wiadomość nie mniej dziwna, przykra, bolesna, która całkiem los nasz może odmienić...

Podniósł głowę.

— List od matki mojej żony — Hänschen nie żyje. Koń go dziki rzucił w mieście, padł głową na bruk, chorował dwa miesiące... zwołano wszystkich lekarzy... Radzca nie żałował nic... uratować go nie było sposobu... Wilhelmina została im jedna... Zdaje się, że ojciec jej i mnie przebaczy... los się nasz na lepszy zmienić może...

Z uczuciem niewymownej radości Wojtuś podał mu rękę.

— Jakkolwiek wypadek smutny, ale dla was skutki mieć musi najlepsze. Powinniście natychmiast jechać do Berlina.

— Ja? nie — ale Wilhelmina musi... ja — ja zostanę z dziećmi, zobaczymy — rzekł Wolski. — Niech się ze mną co chce dzieje, byleby jej i dzieciom lepiej było... Jam nawykł do cierpienia, skóra na mnie od ciosów stwardniała...

— Nie ma chwili do stracenia — odezwał się garbaty — byłbym ci teraz zawadą i czuję, że się oddalić powinienem. Rad tylko jestem, że mnie lepszej przyszłości nadzieja pociesza. Przybyłem w dobrą godzinę...

Wyciągnął doń rękę.

— Nie, czekaj jeszcze chwilę — począł Wolski — radź mi, co mam robić? Wilhelmina ten cios uczuje... była przywiązaną do brata...

— Który was zupełnie opuścił...

— Nie mogło być inaczej. Odwiedził ją raz przecie, gdym ja był na kampanii w Szlezwigu. Przeczytaj list, zdaje mi się, że matka ją wzywa? Ją czy nas?

Wojtuś wziął list ze stołu, w kilku miejscach widocznie był skropiony łzami, ręka, co go pisała, drżała. — W istocie matka wzywała córkę, o Wolskim nie było mowy. Radziła jej, żeby z sobą dzieci przywiozła i z niemi razem upadła do nóg ojcu. Radzca miał być niepocieszony, to była chwila jedyna, ażeby gniew jego rozbroić...

— Co do mnie — co do mnie — odezwał się Wolski zamyślony — radzca mi nie łatwo zapomni urazę i przebaczy winę — ale Helmina powoli utoruje drogę do jego serca.

— Serca? — szepnął pytająco Wojtuś.

Spojrzeli na siebie.

— Przecież mężem jej jestem, ojcem tych dzieci, odepchnąć mnie nie może... znosić przynajmniej będzie musiał...

Garbus lękając się przybycia samej pani, w milczeniu rękę mu uścisnął i wyszedł napowrót do miasta.

Nazajutrz wybrali się ze szwagrem do tak zwanej Szwajcaryi saskiej, która p. Bondarzewskiego zachwyciła a Wojtusiowi nie zdała się wcale do żadnej Szwajcaryi podobną.

Bondarzewski nagie skały i ogromne piaszczyste oglądając przestrzenie, na których nic oprócz skąpych wrzosów nie rosło, znajdował, że to było dla Sasów szczęściem, iż mogli za biletami ten kraj pokazywać, bo inaczejby im tu chleba zabrakło.

Drugiego dnia już do woli nasyceni widokami jednostajnemi, Elbą i statkiem parowym w towarzystwie mnogich Germanii dzieci powrócili do Drezna.

Śpiewaków wielu już odjechało do domów, resztki tylko przypóźnionych jeszcze z torebkami na ramionach przesuwały się po ulicach.

Mieli natychmiast powracać do Poznania, bo Bondarzewski tęsknił do domu i wymówki już czynił szwagrowi, że go ze sobą pociągnął, ale garbusowi chciało się koniecznie coś o Wolskim dowiedzieć.

Wstrzymali się więc godzin kilka, doktor wziął doróżkę i z rana pojechał na Frydychstadt. Wprawdzie numeru domu, w którym mieszkał Wolski, nie pamiętał, ale go po mydlarzu i zapachu poznać się spodziewał. Nie omyliło go to przeczucie, kamienica zresztą była znaczna tem, że najnędzniej ze wszystkich wyglądała. Wdrapał się na drugie piętro i zadzwonił. Po chwili sam Wolski wyszedł mu otworzyć. Blady był jak zawsze, brudnym dosyć obwinięty szlafrokiem, a twarz jego nie rozjaśniła się wcale.

— Nie będę ci natrętnym — odezwał się od progu Wojtuś — mów mi tylko, co się z wami dzieje? Żona.. pojechała?

— Tegoż samego wieczora...

— Z dziećmi?

— Zabrała wszystkie — rzekł smutnie Wolski.

— Miałeś od niej jaką wiadomość?

— Kilka słów — odezwał się nieco zmieszany gospodarz, tą razą wprowadzając do pustego salonu — każe mi czekać...

— Przyjęto ją?

— Ojciec dał się zmiękczyć... tak — została, w domu... u rodziców...

— Dla czegoż ci nie każe przyjeżdżać?

Przecież to potrzebuje pewnego przygotowania, ja jestem cierpliwy. To mówiąc Wolski na pół sobie dłonią twarz zakrywszy siadł w krześle i zamilkł.

Doktor, któremu miejsce na kanapie wskazał, rozpatrywał się w mieszkaniu; chciał z niego domyśleć się, odgadnąć coś z charakteru kobiety, która dlań była zagadką.

Pokój ten był przeznaczony znać do przyjęcia gości nie w zupełnej był zgodzie z mieszkaniem gospodarza. Tam panowała prawie nędza, tu wysiłek smutniejszy może od niej jeszcze skłamania jakiejś zamożności. — Było w tem wiele kunsztu kobiecego, który jednak nie zdołał pokryć rzeczywistego niedostatku. Zawsze przecież tu, gdzie zamieszkała gospodyni, daleko więcej było starania o wdzięk (bez smaku) i wiele rzeczy zbytkowych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Obowiązki młodych dziewcząt.

(Dokończenie).

Pamiętać jednak o tem potrzeba, że od drobnych zajęć domowych nie należy się odgradzać jakąś rzekomą wyższością. Ścierając kurze, naprawiając koszulkę braciszka, krzątając się koło domowego gospodarstwa, wyręczając matkę i domowników, spełnia się tylko ciąg tej samej użytecznej pracy, z której wypływa harmonia ognisk domowych, a więc harmonia świata. Niema zajęć niegodnych, każde udostojnić można pamięcią na cel dla którego pracujemy. Aby pokochać to środowisko, w którem przebywamy, należy je uczynić pięknem, nie zapełniając go tandetnemi kupnemi ozdobami, ale własnym gustem i artystycznym smakiem. Kwiaty pięknie ułożone, sprzęty estetycznie ustawione, pewien skromny wykwint w ubraniu nadaje wdzięk i powab życiu. Dbając jednak o wytworność form o szlachetny wygląd mieszkania i ubioru, nie należy zaniedbywać stokroć ważniejszego objawu kultury — wykwintu obejścia. Szorstka, opryskliwa odpowiedź, dana otoczeniu, jest nie tylko najsmutniejszą, ale i najbardziej rażącą dysharmonią. Znamienną cechą naszych czasów jest niechęć do zajęcia się gospodarstwem kobiecem i nieumiejętność w jego prowadzeniu. Naraża to ogół na nieobliczone szkody, wprowadza rozterkę do rodzin i powiększa tę plagę naszego społeczeństwa — życie nad stan.

Gdyby panienki z pośród rodzin mniej zamożnych w mieście zastanowiły się nad tem, żeby zastąpić pracę młodszej lub kucharki — jak to już czynią Francuzki i Niemki, — gdyby zechciały wziąć na siebie kontrolę rachunków domowych, racyonalniej robiły domowe zakupy — czyniąc je za pomocą spożywczej kooperatywy, a nie zdając się na łaskę wyzyskujących przekupniów, — ileż mogłyby tym sposobem oszczędzić trosk i kłopotów swoim rodzicom. W innych krajach panny wykształcone, nieraz bardzo nawet zamożne, gotują i sprzątają w domu, godząc wybornie te zajęcia z innemi, całkiem kulturalnemi — jak koncerty i odczyty. Są matkami młodszego rodzeństwa, podporami rodziny, zanim małżeństwo powoła je do pełnienia tych obowiązków we własnym domu.

Na wsi znów napotka młoda dziewczyna tyle pól, leżących odłogiem. Zaniedbany ogród z niewyzyskaną stroną dochodową, nieumiejętną hodowlę drobiu, źle przyrządzane zapasy gospodarskie. Za sprzedane wyborowe konserwy, lub dobrze wyhodowane warzywa, będzie się miało możność stworzenia na gruncie niejednej instytucyi kulturalnej, zdobędzie się samodzielność materyalną, która da siłę i możność szerszego działania.

Wszak dzisiaj już nie wystarcza dla serc naszych pojęcie *miłosierdzia*, dusze młode domagają się *sprawiedliwości* dla wszystkich. A ileż to istot ludzkich karłowacieje w niedostatku i brudzie. Rozejrzeć się po chatach należy, wniknąć w życie ich mieszkańców, ulepszyć je i poprawić. Niech za sprawą młodych naszych dziewcząt lud nasz się rozbudzi do obywatelskiej pracy — niech powstaną wśród niego wybitniejsze jednostki, któreby miały wpływ na ogół i zagrzewały go do postępu na drodze oświaty i moralnego dobra. Niechby przed oczyma naszej młodzieży stanęły inne społeczeństwa oświecone, podniesione ekonomicznie, a wstyd zarumieni jej czoła, wstyd, że pól tyle leży u nas odłogiem. Taka starsza siostrzyczka ze dworu niech wejdzie między dzieci wiejskie, niech dzieli ich zabawy i kieruje niemi odpowiednio — niech je przygarnia, niech je nauczy czystości ciała i uczciwości. Niech się podzieli z nimi owocami z ogrodu, aby je oduczyć obdzierać drzewa i skradać się do pańskiego sadu; niech skieruje dzieci do uczenia się jakiego rzemiosła lub pożytecznej pracy.

Wielkie miasta, te środowiska zbytku i nędzy — jak bardzo potrzebują współdziałania młodych, gorących dusz, dla wyrównania niesprawiedliwości społecznej.

Potrzeba nam szkół dla kucharek, dla młodszych, dla szwaczek, praczek, felczerek, — trzeba stworzyć setki instytucyi, trzeba, żeby żadna dziewczyna nie rozpoczynała pracy zarobkowej bez odpowiedniego przygotowania, — aby każda rozumiała, że nie wolno jej być darmozjadem i nieukiem, tylko człowiekiem, ceniącym swą godność, troszczącym się o przyszłość, dążącym do samodzielności, do zapewnienia sobie spokojnej starości. Nie można nawet wyliczyć placówek, czekających na wytrwałe i dzielne bojowniczki.

Bez pracy osób, żyjących dla idei, cały tłum istot wyrośnie na zgubę na hańbę społeczeństwa.

A tak mało, tak mało, względnie do ogromu zadań, jest pracowniczek!

We Francyi, w Anglii szkoły takie zakłada państwo; u nas wszystko zależy od poświęcenia i inicyatywy prywatnej — dlatego tak ważnem jest jak najszersze umiłowanie pracy społecznej.

Gdzie znaleźć jednak tyle siły i umiejętności, aby godnie wypełnić tak trudne zadanie życiowe, zapytają może młode dziewczęta.

„Każda dusza jest światem“ mówią — Hiszpanie i mają słuszność. W każdej drzemią utajone porywy i siły zdolności. Wyzyskać wrodzone przymioty opanować złe skłonności — jest obowiązkiem względem samych siebie. Trzeba tylko być dobrą, „bo nic nad dobroć“ — mówi święty Paweł. A szlachetne nasze hasła narodowe niech dodadzą sił w godzinę pokusy lub rozleniwienia serca, niech uzbroją do pracy dla lepszej przyszłości, której się od młodego pokolenia spodziewamy.

Zofia Bukowiecka.

Z dziedziny mody.

Czas już największy pomyśleć o pochowaniu futer i zmianie toalet zimowych na wiosenne, wobec cudownych i ciepłych dni, jakimi nas w tym roku wczesna wiosna obdarza.

Hasło sezonu wiosennego to: skromność i szyk. Precz z przesadą i krzykliwością. Suknia lub kostyum powinny być skromne a przytem eleganckie. Spódniczki mniej lub więcej obcisłe, rzucające się w naturalne fałdy od dołu. Żakiety wolne długie i krótkie, rękawy gładkie swobodne proste, a ładne. Bluzki, modne zawsze i zawsze do kostyumów konieczne; do wykwintnych strojów robią się z tego samego koloru co spódnice, przybrane materyą z gazy, wstawkami, galonami i t. d. Do ubrania codziennego i na ulicę bluzki angielskie, koszulkowe skromne do mankiet i kołnierzyka, taksamo taftowe, czarne lub kolorowe tylko w zakładki odszywane. — Kołnierzyki stojące wykładane, zapięte na dwie spineczki z przodu. Mankiety gładkie i zapięte w ten sposób, aby spinka była z pod rękawka widoczna.

Spódniczki wszystkie krótkie. Jest to moda, którą można nazwać wprost błogosławioną! Moda rozumna, godna kobiet wieku prawdziwego postępu. Trzeba zrozumieć, ile dobroczynnych skutków pociąga za sobą krótka suknia na ulicę i na codzienne chodzenie, żeby nigdy innej nie używać. Krótka suknia na ulicę — to oszczędność, to zdrowie, to czystość, to wykwint. Oszczędność — bo nie strzępi się, czystość — bo nie znosi pyłów do domu i pyłów nie podnosi w ślad za sobą na ulicy, zdrowie — bo unika zabrania miliona mikrobów, zdradziecko czyhających w ulicznym pyle, wykwint — bo ominie i uchroni tę suknię od ulicznego brudu, zachowa ją długo świeżą, — a świeżość i czystość ubrania, to właśnie największy wykwint w każdej toalecie.

Materyał musi być dobry. Gatunek materyału na kostyum, zwłaszcza na ulicę, stanowi najpierwszy warunek elegancyi. Może nie być niczem ubrany, można uniknąć i drogich guzów, i pasmanteryi i sutaszów, ale używać należy dobrego serge czy sukna, szewiotu czy dyagonalu.

Moda nie usprawiedliwia więc nikogo, kto będzie ubrany źle. Moda daje suknię skromną, krótką, gładką, kapelusze niewielkie, fryzury zupełnie umiarkowane, kolory prześliczne, nie wyklucza materyałów czarnych. Galony, koronki, tiule na przybranie szyjek i bluzek są z wybornym smakiem skomponowane, żaboty białe, guziki bardzo wytworne — słowem daje wszystko piękne, cofając się dyskretnie, szanując gust indywidualny i jakby wyczekując w milczeniu rezultatów. Nie obraźmy jej niczem.

Bo, jeżeli nie przyjmiemy z aplauzem jej dyskrecyi, gotowa nas karać. „Nie umiałyście uszanować moich najlepszych chęci — powie — macie krynoliny, bufy, fałdy i różne inne dziwolągi.“ Bądźmyż z nią ostrożne. Umiejmy cenić wysoką delikatność i nośmy suknie bardzo szykowne, ale... skromne.

Dom i kuchnia.

Jajka w szlafrokach.

Jajka ugotowane na twardo obrać z łupinki i każde owinąć cienkim plasterkiem surowej szynki i cienkim plasterkiem surowej cielęciny, którą poprzednio należy zbić, lekko popierzyć i osolić. Jajka tak owinięte owiązać bawełną, którą się usuwa przy wydawaniu na stół. Jajka te obrumienić ze wszystkich stron w maśle, i złożywszy w rondel, podlać nieco rosołem, kilku łyżkami śmietany i pod pokrywą dusić pół godziny.

Potrawę tę można podawać w miejsce zrazów.

Legumina z naleśników.

Żółtek 6 i całych jaj 6 rozbić doskonale, potem dodać kwaterkę mąki i 2 łyżki śmietanki i znów dokładać potrochu kwaterkę mąki i tyle mleka, aby ciasto było tak gęste, jak na naleśniki. W gotowane ciasto wsypać trochę cukru (pudru) i wlać kwaterkę topionego masła. Naleśniki obrumienić ze wszystkich stron i składać na okrągły półmisek, ustawiony na kominie, na garnku z gorącą wodą, aby naleśniki nie stygły. Każdy naleśnik przesypywać cukrem, czarnemi drobnemi rodzynkami i kropić sokiem z cytryny lub pomarańczy. Gdy naleśniki są zrobione przekrajać je na półmisku w gwiazdę na cząstki, osypać cukrem, wstawić w piec, aby się przyrumieniły, i raraz na stół wydać.

Zupa z ogona wołowego (Ox-tail soup).

Dwa ogony wołowe, dwa plastry szynki, łyżka czubata masła, 2 marchwie, 1 brukiew, 3 cebule, 1 pietruszka, 1 seler, 4 goździki, 1 łyżka soli, 2 łyżki sosu pomidorowego (Catchup), pół szklanki wina białego, 3 kwarty wody. Ogony po dokładnem opłukaniu pokrajać na cząstki i włożyć takowe w rondel z masłem. Pokrajać włoszczyznę i jarzynkę drobno, zalać połową wyżej oznaczonej wody i mieszać to na ostrym ogniu do puszczenia sosu. Dopełnić teraz rondel resztą wody i dopiero w czasie gotowania osolić do smaku; zszumować dobrze i gotować na wolnym ogniu przez 4 godziny, albo też do miękkości ogonów. Wyjąć wszystko, zupę przecedzić, zapalić mąką z masłem, dodać wina i catchupu albo też masy pomidorowej. Wrzucić w to z powrotem ogony, zagotować przez 5 minut i podać na stół.

Miętusy szpikowane słoniną.

Miętusy dokładnie oskrobane i oczyszczone osolić na godzinę, poczem osączyć z soli i naszpikować młodą słoniną. W rondlu ułożyć na spód: plasterki cienkie słoniny młodej i cielęciny cieniutko pokrajanej, na to ułożyć ryby, na takowe ułożyć kilka młodych cebulek szpikowanych goździkami, kilka liści bobkowych, pietruszkowej natki, a na to znów kilka plasterków słoniny i cielęciny, podlać to winem białem i dusić w piecu. Gdy już mają dosyć, ryby ułożyć na patelni, polać masłem, posypać bułeczką tartą i przyrumienić w piecu. Sos z rondla przecedzić przez sito, zebrać tłuszcz, zapalić masłem z mąką wcisnąć trochę sosu cytrynowego, przygrzać i tem podlać ryby na gorącym półmisku z patelni wyłożone.

Sałata głowiasta faszerowana

Sałatę w ścisłych główkach obgotować przez pół godziny, przełożyć w zimną wodę, po ostudzeniu wyjąć, dokładnie osączyć i pomiędzy listki nadziać farszem. *(Farsz).* Kawałek mięsa pieczonego lub gotowanego, trochę łoju świeżego od nerki, bułki tartej, cebuli i natki od pietruszki zielonej — wszystko to bardzo miałko usiekać lub puścić przez maszynę; osolić, opieprzyć i dodać gałki muszkatołowej utartej, jaj całych tyle, ile będzie potrzeba do zagniecenia tej masy na taki gąszcz, by można z łatwością między listki sałaty nakładać. Po nadzianiu sałaty główki obwiązać białą nitką, maczać w jajku rozbitem, obsypać bułką tartą i ułożyć na roztopionym maśle w rondlu. Smażyć pod pokrywą do zrumienienia.

Chleb grahamski.

Trzy funty śrutu pszennego, 50 gr. młodzi, $1^1/_4$ litra letniego mleka zmieszanego z wodą i łyżkę soli wyrabia się na ciasto, które rosnąć powinno 2—3 godzin. Następnie drugi raz ciasto wyrobić doskonale, formować bochenki, po godzinie smarować białkiem i piec godzinę.

Drobne sekreta gospodarskie.

I. Jeżeli mięso wołowe wydaje się twarde, trzeba je na 24 godziny przed użyciem namoczyć w kwaśnem mleku.

II. Ciasto na makaron lub faworki, słowem każde gniecione poznaje się, czy ma już dosyć, po dziurkach formujących się w środku, sprawdzamy to rozkroiwszy ciasto.

III. Gdy ryba na majonez jest duża, zostawić ją na noc w ugotowanym smaku, nabierze kruchości i wyjątkowej dobroci.

IV. Kładąc cielęcinę do rosołu, trzeba ją poprzednio mocno sparzyć, by rosół nie był biały i mętny.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Rosół z kluskami, polędwica z garniturem, konfitury.

Poniedziałek. Zupa cytrynowa, pieczeń barania z grzybami, szarlotka z jabłek.

Wtorek. Zupa pomidorowa z grzankami, potrawa z kury z kaszką zacieraną, kompot.

Środa. Zupa rybna biała, kotlety z ryb z osmażanymi ziemniakami, omlet z suchą konfiturą z marchwi.

Czwartek. Zupa z cynader, pieczeń cielęca z buraczkami, legumina cytrynowa.

Piątek. Zupa grzybowa, pierogi z farszem grzybowym z kapustą, pieczone jabłka.

Sobota. Zupa z ziemniaków, jajka sadzone w szarym sosie z kaszą, galareta pomarańczowa.

:: HUMORYSTYKA ::

Uprzejma obietnica.

Teściowa. Drogie dzieci, zostanę z wami sześć tygodni i mam nadzieję, że czas ten nie wyda mi się długim.

Zięć. O ile to odemnie będzie zależało, postaram się go skrócić.

W sądzie.

Prezydujący. Śledztwo ukończone — czy obwiniony ma jeszcze co do nadmienienia?

Obwiniony. Chyba tylko, prześwietny sądzie, słowa Pisma Świętego: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni...“

Szczery.

— Czy pan uwierzy, że są psy, które nawet swych panów przewyższają rozumem?

— Owszem, ja sam posiadam takiego...

Znakomity artysta.

— Wiesz co, wczoraj w nowej sztuce grałem naczelną rolę, — odezwał się pewien marny aktor do swojego znajomego.

— Czy to podobna?

— Tak jest. Postępowałem po scenie na czele cyganów przesuwających się po niej w chwili, gdy inni artyści deklamowali coś przed publicznością.

Fatalizm.

A.: Gram od 12-tu lat w loteryę i ani razu jeszcze nie wygrałem.

B.: Mój kochany, to u mnie gorzej, bo ja od 15 lat jestem ubezpieczony w Towarzystwie od nieszczęśliwych wypadków, i dotychczas nic mi się nie stało.

W restauracyi.

Kelner. Co pan rozkaże?

Gość. Podaj mi befsztyk, ale żeby był duży — jestem nerwowy, więc każdy drobiazg mnie drażni!...

Przyczyna bezsenności.

Pewna pani skarżyła się swojej przyjaciółce, że sypiać po nocach nie może.

— To czemuż moja droga nie poradzisz się doktorów — odrzekła jej.

— Co też ci do głowy przychodzi. Radziłam się ich często i wybrali oni odemnie tyle pieniędzy za swe porady, iż własnie dlatego spać nie mogę.

Na wsi.

Lekarz. Co dzisiaj jadł na obiad twój mąż?

— Wołowinę.

— I z apetytem?

— Nie z marchwią.

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o jak najrychlejsze nadsyłanie przedpłaty na kwartał przyszły do Administracyi „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. — Prenumerata wynosi rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal., kwartalnie 2 kor. 40 hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.". Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.